№ 45 Warszawa, dnia 24 Października (5 Listopada) roku 1881.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

OPOWIADANIA Z POBYTU W AFRYCE.

Przez

Stefana Marusińskiego.

Wieczerza. — Almee. — Powrót do Sohag. — Wizyta u Szeika. — Nocleg. — Mulit (*). — Tańczący derwisze. — Beduini. — Kąpiel arabska.

I.

Już się dobrze ściemniło, gdy po całodziennem polowaniu w lesie przybyliśmy z mym towarzyszem Antoninem T., Francuzem, do pewnej wielkiej wsi arabskiej, wśród gajów palmowych u stóp pustyni położonej.

Szeik tejże dowiedziawszy się o naszem przybyciu, wysłał swego brata zapraszając nas do siebie.

Dosiadlszy tedy nanowo koni, otoczeni tłumem dzieci i ciekawych różnej płci i wieku, przybyliśmy wreszcie po kilku minutach powolnej jazdy przez wązkie uliczki wioski, przed dom szeika, który dokoła palmami osłonięty, na niewielkiem wzgórzu się wznosił.

Szeik otoczony starszyzną wioski, siedząc na dywanie(**) przed domem, używał wieczornego chłodu, lecz za naszem przybyciem podniósł się spiesznie i z serdecznością oraz wielu komplementami wprowadził nas do wnętrza domu.

Po dowiedzeniu się o stanie naszego zdrowia i wielokrotnych „salamat" usiedliśmy na obszernym dywanie zasłanem tureckiemi kobiercami i skórami jaguarów.

Obok nas po jednej stronie zajął miejsce sam szeik, człowiek już niemłody, czystej krwi Arab z krótką na sposób turecki podstrzyżoną brodą. W jego przyjemnych rysach twarzy przebijała się inteligencya, a czarne oczy pełne ognia i siły z wyrazem dobroci i wesołości ku nam się zwracały. Biały muszlinowy turban okalający jego głowę tworzył nader przyjemny kontrast z bronzowym kolorem twarzy.

Ubiór szeika składał się z obszernego białego płaszcza, zwanego „abaja" bogato złotem, srebrem i różnokolorowym jedwabiem haftowanego. Na białej długiej tunice miał zwierzchnią suknię jedwabną koloru wiśniowego, ściągniętą kosztownym pasem. Za obuwie służyły mu wysokie czerwone meszty z marokańskiej skóry w różne arabeski wyszywane.

Po drugiej stronie dywanu zasiedli zgromadzeni goście, a przez odsłonięte otwory okien, mnóstwo ciekawie tłoczących się głów służyło za tło całemu obrazowi.

Po ceremonialnej rozmowie, w której mój towarzysz niewielki brał udział z powodu małej znajomości języka arabskiego, wniesiono kawę.

Czarni niewolnicy w białych do kolan sięgających koszulach, ściągniętych w pasie sznurkiem z sierci wielbłądziej, obnosili ten trunek w maleńkich filiżankach porcelanowych bez uszek, umieszczonych w rodzaju kubków z tegoż samego materyału. Dla nas jednakże jako dla gości, podano kawę w srebrnych kubkach prześlicznej filigranowej roboty.

Podczas gdy służący ze srebrną tacą do mego towarzysza się zbliżał, ten szepnął mi na ucho.

— Kawa pewnie bez cukru, ani myślę kosztować jej nawet.

— Bój się Boga, człowieku, bierz, pij, zaklinam cię na wszystko, inaczej narobisz nam wielkiej nie przyjemności, odpowiedziałem.

Po długich ceremoniach, w których mu szturchańcami dopomagałem, zdecydował się wreszcie i przyjął ofiarowaną mu filiżankę; a mnie przyznam się, że wielki kamień spadł z piersi. Tutaj bowiem nieprzyjęcie kawy na pierwszej wizycie, poczytuje się za największą zniewagę dla gospodarza domu.

Rozpogodzona twarz Antonina świadczyła, że kawa była osłodzoną, co mnie niemało zdziwiło znając zwyczaj arabski pijania takowej bez cukru. Ja z mej strony chlipiąc z całych sił (co tu do dobrego tonu należy) i mając oczy na dno filiżanki zwrócone, kończyłem z prawdziwą rozkoszą tę wyborną mokkę. Jako grzeczność powiedziałem szeikowi, że jeszcze nigdy tak doskonałej kawy nie piłem; a gdy oddając filiżankę na odpowiedź jego „hanijan", „gahno dajman" (*) rzekłem, radość poczciwego gospodarza granic prawie nie miała.

Następnie zjawił się mały murzyn ubrany z turecka przynosząc żarzące węgle i fajki napełnione tytoniem; nargileh bowiem nie są tu w używaniu.

Proszę sobie wystawić cybuch długi na przeszło 3 łokcie, z wiśni tureckiej, pokryty czerwonym aksamitem i ozdobiony w szerokie złote skówki, u spodu mała turecka fajka zamknięta w rodzaj budki ze srebra dla ochrony kobierców od ognia,

(*) Mulit, rodzaj odpustu lub jarmarku na cześć jednego z mahometańskich świętych.

(**) Dywan, szeroka kamienna lub drewniana ława pokryta kobiercami.

(*) Po wypiciu filiżanki kawy, gospodarz domu kłaniając się gościowi mówi „hanijan" co znaczy „niech serce twe się rozweseli", gośc zaś odpowiada: „Ałłah jehannik" niech cię Bóg rozweseli! „Gahno dajman", znaczy, „zawsze chciałbym pić taką kawę". Wyrażenie to tylko w staro-arabskich domach jest używane.

u wierzchu zaś bursztyn wielkości dużego jabłka podłużnej formy.

Otaczając się tedy kłębami wonnego dymu, gawędziliśmy z szeikiem i innymi gośćmi, którzy z wielką ciekawością wypytywali nas z największem jednak umiarkowaniem o nasze pochodzenie, kraj i zwyczaje europejskie.

Szeik, który dawnemi laty silnemu szczepowi Beduinów przewodził, następnie zakupiwszy kilka tysięcy „feddanów” (*) gruntu i oddawszy się hodowli koni, dolinę Nilu zamieszkał, wywiadywał się najwięcej o rodzaj i sposoby naszego polowania na dzikiego źwierza. Wszystko com mu w tym względzie opowiadał, zdawało się go nadzwyczaj interesować.

Po godzinnej może rozmowie i wypiciu kilku szklanek sorbetu, zapytał nas, czy nie zechcemy wieczerzać. Odpowiedzieliśmy, że będąc znużeni podróżą, raczej snu, niż posiłku potrzebujemy.

Natychmiast podnieśli się wszyscy i życząc wzajemnie szczęśliwej nocy, rozeszliśmy się na spoczynek.

Następnie szeik wprowadził nas do przyległej komnaty, gdzie dla każdego było już przygotowane nizkie obszerne łoże z gałęzi palmowych, pokryte miękkiemi wełnianemi derkami.

Po wielu zaręczeniach, że dom jego jest naszym domem a on sam pierwszym naszym sługą, oraz po zapewnieniu, że odwiedziny sprawiły mu niezmierną radość, oddalił się gospodarz domu polecając nas opiece Ałłaha, zapytując raz jeszcze czy czego nie potrzebujemy.

Zapewniwszy go, że wszystkiego mamy poddostatkiem, pożegnaliśmy w końcu gościnnego szeika i oddaliwszy służących udaliśmy się na spoczynek.

Antonin po krótkim monologu, w którym coś o braku siatki przeciw moskitosom prawił, zarzuciwszy na głowę lekką muszlinową chustę, zasnął wkrótce snem błogosławionych.

Ja jednak, pomimo znużenia, nie mogąc zasnąć z powodu ogromnego gorąca, zapaliwszy papierosa usiadłem na dywanie i przy mdławym świetle olejnej lampy przerzucałem kartki arabskiej książki, którą przypadkiem w rogu pokoju porzuconą znalazłem. Po krótkiej chwili rozpoczął się piekielny koncert harmonii, o którym ucho europejczyka pojęcia nawet mieć nie może; przeraźliwe wycie hyen i szakali mieszając się z wściekłem ujadaniem psów na dachach wioski biegających, ani na chwilę usnąć mi nie dozwalały, przytem huk strzelb dla odstraszenia tych natrętnych gości oraz krzyki i nawoływania pasterzy strzegących trzód w ogrodzeniach, wcale do uspokojenia mych nerwów się nie przyczyniały. A gdy wreszcie i moskitosy przywabione światłem lampy poczęły się chmarą zlatywać przez odsuniętą kratę u okna, zrozpaczony opuściłem dywan, zabierając derkę i udałem się przed dom, gdzie na miękkim piasku pod olbrzymim sykomorem układłem się do snu.

(D c. n.)

RADZIWIŁŁ SWATEM.

GAWĘDA

przez

Ludwka Niemojowskiego,

Nikt z was pacholęta młode,
Nie znał księcia Radziwiłła,
Wileńskiego wojewodę:
Toćto zasię postać była
Nie dzisiejsza. Z ciała hartem,
Dzielną dłonią, duszą zacną,
Sercem wzniosłem a otwartem,
I tysiącem cnych przymiotów,
Tak poczynał wżdy łaskawie,
Z bracią szlachtą, iż niełacno,
By u ludzi starej daty,
Ono poczucie zamarło,
Którem każdy z nas przed laty,
W wszelakiej rządząc się sprawie,
Był mosanie zawżdy gotów,
Za cześć jego dać swe gardło.

Pomnę, byłem raz w gościnie
U imci pana Sołtyka,
Nowogrodzkiego stolnika
A krewniaka mi po matce,
Który siadł na Żurawinie
Dymkach, Dębiu i Kurczatce;
Wsie zaś owe co składały
Klucz tak piękny i zasobny,
Sukcesyjnie się dostały
W linię męzką. Dom ozdobny,
Choć nie pałac, mógł przy gali
Liczny poczet zmieścić braci,
Nawet gdy hurmem zjechali
Krwi szlachetnej kolligaci,
I z powiatu ziemian grono;
Otóż ja tam brodzką bryką,
W czwórkę siwków zaprzężoną,
Zajechałem z magnifiką
Na zapusty. Już przed dworem
Stał rząd kolas. Z wszech stron kraju
Zacni goście się zebrali,
A gospodarz jak przystało,
Wedle cnego obyczaju,
Gościnności idąc torem,
Gromadkę dostojnych osób
I drużynę braci całą,
W pełen uprzejmości sposób,
Ugaszczał wśród dworca sali.

Tandem tedy gdy z kolei,
Ciepłe podano śniadanie
I wniesiono roztruchany,
Dworski hajduk przy mnie stanie
Wieść przynosząc: Mater Dei!
Jaśnie oświecony książę
Wojewoda, memu domu
Czyniąc splendor niesłychany,
W ubożuchne wstąpi ściany
Tego dworca. Goście mili,
Macie jadło, antał wina,
Bawcie się więc ja podążę
Het do kopców Żurawina
Na granicę, abym w chwili
Tak pamiętnej czyniąc zadość
Prawom mitry, stał tam gotów,
Jak przystoi z onej racyi,
Księciu panu moją radość
Wypowiedzieć przy oracyi,
Pełnej retorycznych zwrotów.

Wtedy my krzykniemy społem,
Pośród brzęku roztruchanów:
„Radziwiłłom bijem czołem!
A Wileński wojewoda
Nasz pryncypał i pan z panów...
Jedźmy więc gromadą całą
Cześć mu oddać jak przystało!”
A gospodarz rzeknie: „zgoda!”
Ten i ów dopadnie konia,
I przez smugi, lasy, błonia,
Hejże dalej na granicę...

Zaledwieśmy przystanęli
Koło kopców wedle strugi,
Co klucz Żurawiński dzieli
Od sąsiedzkich ziem — już w dali,
Nakształt prądu rzecznej fali,
Pojawił się poczet długi,
Świetnych kolas wraz z taborem
Wozów czeladzi służbowej:
To Radziwiłł całym dworem,
Choć dygnitarz orderowy,
Umiejąc brata szlachcica
Uczcić jako przynależy,
Personą swoją zaszczyca
Dom stolnika. Każdy czeka
Tam gdzie obrał stanowisko,
Gdy wnet laufer k'nam podbieży
Machając czapką z daleka,
I w głos woła: „książę blizko!”

Wszyscy z konia, stolnik przodem
Przed kolasą pańską stanie,
I rzuciwszy mimochodem
Wzrok swój na nas w ten kształt rzeknie:
„Jaśnie oświecony panie!
Na tym świecie wszystkie sprawy
Bóg feruje bardzo pięknie,
Bo częstokroć żywot łzawy
Grzesznych ludzi w taką złotą
Zbarwi aurę, że człek wtedy
Zabaczywszy wszelkiej biedy:
Uszczęśliwion z doli własnej,
Ofiaruje mu z ochotą
Przeszłe troski. Tyle jasny
Dzień zabłysł w promienne smugi
Dzisiaj do mnie, gdy Nieświeża
Pan, ubogą chatę sługi
Swego, zaszczycić zamierza
Dostojnością swej persony!...”

„Ej, panie kochanku” — powie
Książę wielce rozczulony,
Mądrej głowie dość na słowie:
Znam ci ja was bracia mili,
I nigdym się nie zadziwił
Waszym sercom w danej chwili,
Bo tam szlachta gdzie Radziwiłł!”
I pomimo obserwacyi
Zagonowców i stolnika,
Dosiadł konia: „Z jakiej racyi”,
Mówił — „miałbym jak mantyka
Lub niezdarny starowina
Siąść w kolaskę, gdy drużyna
Braci szlachty jedzie wierzchem?
Gdzie wy tam ja — tak bywało
Zawsze, tym więc trza iść torem.”

Wkrótce z kalwakatą całą,
O szarej godzinie zmierzchem,
Stanęliśmy przede dworem
Żurawińskim. Kiedy społem
Stolnik z gronem swoich gości,
Wedle cnego obyczaju,
Wojewodę w dom wprowadził,
I oddając cześć zasadził
Matedora po za stołem.
Ja postaram się w tej chwili,
Opisać wam cną tę postać,
Tyle słynną w naszym kraju...
Ale czyliż zdołam s; rostać

(*) Fedan, rodzaj arabskiej morgi lecz mniejszej od naszej.

Założeniu, bracia mili,
Przedstawiając księcia pana
We wszelakiej subtelności?
Jego dobrotliwych czynów
Wiedzieć trudno, rzecz to znana,
Jako z ojców wżdy na synów
Spływa splendor. Owoż tedy
Cnego rodu protoplasta,
Dojrzawszy wśród kraju biedy,
Hartem ducha, był persona
Jaka w naszych dziejach pono
Prym trzymając, nie przerasta
Głową innych. Miał on mnóstwo
Zalet duszy: pan łaskawy,
Dla krwi zacnej i szlachetnej,
Brał do serca wszelkie sprawy
Adherentów. Kto zaś w szpetny
Począł sposób — precz ze dwora!
Wszelakie zaś ochędostwo
Trzymał zawżdy w swej odzieży
I od rana do wieczora,
Był przybrany jak należy
Radziwiłłom. Granatowy
Kontusz atłasem podbity,
Żupan jasny, fryza modra,
Był codzienną zasię szatą,
W jakiej chadzał: przytem lity
Pas, tkany srebrem bogato,
Wdzięczne mu okalał biodra
W jaszczur oprawioną szablę
Podtrzymując. Pańska mina
Fizys butna, wąsy dyable
I podgolona czupryna:
Nadto, niezwykła swoboda
Obcowania pośród młodzi,
Ot tak się pan wojewoda
Nasz pryncypał i dobrodziej
Sprezentował.

Gdy podano
Wino stare w małych czarkach,
Imci pan Janusz Ordęga,
Co na dwóch siedział folwarkach,
Z zacnej rodziny podolan
Pochodzący, lecz ubogi,
Skłonił się księciu do kolan,
I rzekł: „wszedłszy w one progi
Cnego domu protoplasto,
Okaż dla wiernego sługi
Twą łaskawość. Już rok drugi
Jak Imci pannę Żabiankę,
Stolnikowstwa wychowankę,
Nosząc się z jej kontrefektem,
Miłuję szczerym affektem,
Pragnąc zwać ją swą niewiastą
I małżonką. Książę panie,
Uczyń zasię zmiłowanie
Nad niedolą serca mego,
I bądź mi orędownikiem
Z tej okazyi przed stolnikiem."

A Radziwiłł na to rzeknie:
„Mówisz asan bardzo pięknie
Choć latami jesteś młody;
Będę więc twym alter ego
U rodzica w onej sprawie" —
I w ten kształt do gospodarza
Zwróci mowę: „Panie Procie,
Gdy sposobność się nadarza
Młodej parze sprawić gody,
Zacne chęci przyjm łaskawie,
Ordęgowie na zaścianku
Orząc ziemię w czoła pocie,
Równi innym, jak Bóg miły...
Wszak u nich, panie kochanku,
Senatorskie krzesła były,
I urzęda i zaszczyty,
I wszelaki splendor — przytem
Zapisz to sobie w pamięci,
Iż Radziwiłł rad niezmiernie,
Kiedy jego adherenci,
Co mu zawżdy służą wiernie,
W ślubne stadła się kojarzą...
Uradowan tym zaszczytem
Dziewosłębstwa wojewody,
Stolnik z rozjaśnioną twarzą
Głos podniesie: „mości książę,
Ordęgowie krew poczciwa,
Z ojca, dziada i pradziada,
A kiedy się wszystko składa,
By himenu skuć ogniwa,
Niechaj kapłan stułą wiąże
Dłonie młodych — ja przystaję.
Basia, moja wychowanka,
Nie przeciwna jak się zdaje,
Miasto dziewiczego wianka,
Czepiec nadziać w onej porze;
Kiedy więc tak rzeczy stoją,
Niech się biorą w imię Boże!..."

Ledwie stolnik sankcyą swoją
Stwierdził affekt — już pan młody,
Na skinienie wojewody,
Opiekuna za kolana
Z należną pokorą ima,
Głowę kłoniąc — a dzieweczka,
Zrumieniona, zestrachana,
W dół spuszczone oczy trzyma,
Mnąc rękami róg fartuszka.

„Tandem, chciejcie mnie posłuchać,"
Doda książę pan łaskawie:
Aby zasię młoda para
Miała gdzie po ślubie gruchać,
To Radziwiłł się postara,
Dać im jaką wieś w zastawie
Za pól czynszu. Mości Łaski
Zwertuj mi asan dokładnie
Spis dóbr, któ y masz w kieszeni,
A niechaj już tak wypadnie,
By to była dobra gleba,
Grunt co hojne kłosy pleni,
Nie zaś wydma, ług lub piasek:
Słowem zrób wszystko jak trzeba
Czynić w podobnej przygodzie."

Słysząc słowa księcia pana,
Plackiem do nóg wojewodzie
Padł młodzieniec, a drużyna
Braci szlachty w krąg zebrana,
Po za biesiadniczym stołem,
Wzniesie w górę dzbany wina,
I w głos wielki krzyknie społem:
„Niech nam żyje w długie lata
Chluba Litwy i Korony,
Mąż co błysnął w dziejach świata,
Jako brylant czystej wody!"
Stolnik zasię rozczulony,
Łaskawością Wojewody,
Rad krew wszystką ponieść w dani
Protoplaście czci rodowej,
Pragnął pięknym zwrotem mowy,
Określić tę aureolę
Cnoty, która niby gwiazda
Lśniąc wśród Radziwiłów gniazda,
Promień pańskich łask wydziela,
Lecz nie mogąc dobyć z krtani
Słów, zbeczał się jak pacholę.

Niebawem z wieczornym zmrokiem
Noc nastała; już kapela
Grzmi na sali, a z Nieświeża
Książę posuwistym krokiem
Do panny Żabianki zmierza
I w tan prosi. Za nim społem
Wślad zdążają inne pary,
Zakreśliwszy długiem kołem
Łuk niezmierny. W taki sposób,
Pośród wesołej drużyny,
Grono starszych wiekiem osób,
Z dostojnikiem swym na czele,
Uświęciło zaręczyny
Wspaniałością dygnitarza,
Instalowanego stadła
Na tor życia. Mógłbym wiele
Kiedy się okazya zdarza
A pora k'temu wypadła,
Rzec jeszcze w onej osnowie,
Lecz na jednem skończę słowie
Dykcyą moją. Owoż zatem,
Dzisiaj gdy już się skończyła
Owa jedność, sojusz bratni
Chudopachołka z magnatem,
Co jako odblask ostatni,
Lat minionych aury złotej,
Z ojca spływając na synów,
Łączył z szlachtą karmazynów,
Znikły i rodowe cnoty.

Kiedy więc dobiegłszy granic
Przeszłych, szerszem kroczym kołem,
A dufni w siłę mamony,
I prozarpią mając zanic,
Przed fortuną bijem czołem,
Zachowajmy w swej pamięci
Stare dzieje zbiegłej chwili:
Może wtedy, bracia mili,
Nie jeden z was rozrzewniony,
Łzą wspomnienie to uświęci,
Może nawet i szermierze
Nowych świata przeobrażeń,
Co wszechwiedzą darzą naród,
Ujrzawszy w węźle skojarzeń,
Krwi, affektów bratnich zaród,
Przyznają prawdą zwalczeni,
Że w tej lat ubiegłej erze,
Wśród chwilowych niezgód cieni,
I codziennej życia troski,
Jak sfer górnych jasna gwiazda,
Niezbadana, niepojęta,
Tkwiła zawżdy miłość święta,
Rozlewając promień Boski,
Na prastare rodzin gniazda.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

XLI.

Królowa Augusta.

Podczas ten nocy tak strasznej dla rodziny Fellnerów, baronowa von Below pośpiesznym pocią-

giem jechała do Berlina, w którym stanęła po ósmej rano.

W każdym innym razie byłaby pisała pierwej do królowej z prośbą o posłuchanie, jak tego wymagają formalności etykiety dworskiej. Ale czas naglił, jenerał von Roeder zostawił tylko 24 godzin na zapłacenie kontrybucyi; termin ten kończył się o dziesiątej rano — poczem w razie niezapłacenia miasto zostanie niezwłocznie wydane na rabunek i zbombardowanie.

Ogłoszenia porozlepiane po wszystkich rogach miasta zawiadamiały, że nazajutrz o godzinie dziesiątej, w dawnej sali Senatu, jenerał wraz z całym sztabem głównym, oczekiwać będzie zapłacenia kontrybucyi.

Jak w Rzymie, na wykupienie się Gallom, będą gotowe wagi do ważenia złota.

Tak więc nie było minuty do stracenia.

Wysiadłszy z wagonu pani von Below wzięła powóz i kazała zawieźć się do małego pałacu, w którym mieszkała królowa od początku wojny. Tam kazała prosić szambelana Waals, który jak powiedzieliśmy wyżej, był przyjacielem jej męża. Przybiegł natychmiast; zobaczywszy ją w żałobie, krzyknął:

— Wielki Boże! czyż Fryderyk poległ?

— Nie, kochany hrabio, nie poległ tylko sam odebrał sobie życie, odpowiedziała, i potrzebuję natychmiast mieć posłuchanie u królowej.

Szambelan nie robił żadnych trudności. Wiedział jakie uważanie Fryderyk miał, jakoteż że królowa znała panią Below; poszedł więc natychmiast oznajmić prośbę wdowy po swoim przyjacielu.

Dobroć i wyższy umysł królowej Augusty, znane są w całych Niemczech. Jak tylko szambelan zawiadomił ją o przybyciu Emmy pokrytej żałobą, domyślając się, że pewnie ma do niej jakąś prośbę, królowa zawołała:

— Niech wejdzie! niech wejdzie!

Szambelan natychmiast zawiadomił panią von Below.

Opuszczając salon w którym się znajdowała, zobaczyła że drzwi do apartamentu królowej były otwarte i królową Augustę oczekującą na nią w progu. Przystąpiwszy, baronowa przyklękła na jedno kolana; chciała przemówić, ale zaledwie mogła powiedzieć te dwa słowa:

— Najmiłościwsza królowo!

Królowa podniosła ją, mówiąc:

— Czego żądasz kochana baronowo? Co cię sprowadza do Berlina? Po kim jesteś w żałobie?

— Po najdroższej mi osobie i mieście; po mężu który nie żyje, po mieście rodzinnem, które dogorywa.

— Mąż twój nie żyje!... Biedne dziecię... mówił mi Waals, że odebrał sobie życie... myślałam że to wieść fałszywa... Cóż mogło popchnąć go do tej ostateczności? jakąż krzywdę mu wyrządzono?... mów, postaramy się ją naprawić.

— Naj. pani, mąż mój nie mnie ale komu innemu przekazał zemstę swoją, więc co do tego, niech się spełni wola Boża i jego; mnie przywodzą do stóp w. k. mości krzyki rozpaczy mego rodzinnego miasta, na którego zagładę sprzysięgły się wojska a raczej jenerałowie wojsk królewskich.

— Chodź moje dziecię, opowiesz mi to dokładnie, a szczególniej z całem zaufaniem.

Królowa Augusta wprowadziła Emmę do salonu i posadziła na kanapie przy sobie, ale młoda kobieta zsunęła się z niej do stóp mona rchini.

— Naj. pani zna Frankfurt?

— Tak, byłam w nim przed rokiem, przyjmowano mnie jak najlepiej.

— Niechże to dobre wspomnienie przyjdzie w pomoc moim słowom. Jak tylko jenerał Falkenstein wszedł do Frankfurtu nałożył i ściągnął z miasta kontrybucyą w sumie 7 milionów florenów w gotówce, i drugie tyle w naturze. Tak więc uczyniło to razem 14 milionów florenów, sumę ogromną na niewielkie miasto liczące zaledwie 72,000 mieszkańców, z których połowa, jako cudzoziemcy, nie płacą żadnych podatków.

— I Frankfurt zapłacił?

— Tak, naj. pani, ponieważ nie przekraczało to jeszcze granic możliwości. Ale przybył następnie jenerał Manteuffel, i ten znowu nałożył na miasto kontrybucyą 25 milionów florenów. Tym razem, niepodobna spełnić rozkazu. Gdyby podobną kontrybucyą nałożyć na 18 milionów poddanych, uczyniłoby to więcej miliardów niż ich cały świat posiada w monecie. Otóż, obecnie, działa wycelowane są na ulice miasta i najważniejsze punkta, i jeźli dziś, o dziesiątej kontrybucya nie zostanie zapłaconą — a zapłacenie jej jest niepodobieństwem — miasto zostanie zbombardowane i wydane na rabunek — a przecież Frankfurt jest miastem neutralnem nie ma szańców ani fortyfikacyi, nie bronił się i bronić nie może.

— I tobież-to, moje dziecię, tobie, kobiecie przypadło prosić o sprawiedliwość dla miasta? przecież Frankfurt ma Senat?

— Nie ma go już, naj. pani, Senat rozwiązano, kilku senatorów uwięziono.

— A deputowani?

— Wygnano ich z sali posiedzeń.

— A burmistrze?

— Nie śmieją nic przedsięwziąć, gdyż zagrożono im rozstrzelaniem. Bóg mi świadkiem, miłościwa królowo. że nie przywłaszczyłam sobie ważnej roli obrońcy nieszczęśliwego miasta, spełniam tylko ostatnią wolę zmarłego męża, który polecił mi przyjść błagać w. k. mości.

— Ale cóż mogę zrobić?

— Niech w. k. mość poradzi się własnego serca; ja powtarzam tylko, iż Frankfurt jest zgubiony, jeźli dziś przed dziesiątą rozkaz królewski nie unieważni wydanych rozporządzeń.

— Gdyby przynajmniej król był w Berlinie! rzekła królowa.

— W. k. mość wie, że dzięki telegrafom odległość nie istnieje. Depesza naj. pani dojdzie króla za pół godziny, za drugie pół godziny może być odpowiedź i rozkaz odwołujący kontrybucyą w Frankfurcie.

— Masz słuszność, odrzekła królowa Augusta, i przysuwając się do biórka założonego papierami, napisała co następuje:

„*Do j. k. mości Wilhelma I króla pruskiego.*
Berlin, 23 lipca 1866 r.

Naj. panie!

Usilnie i najpokorniej upraszam o zniesienie kontrybucyi 25 milionów florenów, samowolnie nałożonej na Frankfurt, który i tak już zapłacił w pieniądzach i naturze 14 milionów florenów.

W. k. mości najniższa sługa i kochająca żona,
Augusta."

„P. S. Upraszam o natychmiastową odpowiedź."

Podała papier Emmie, która przeczytawszy pocałowała pismo i oddała królowej.

Królowa zadzwoniła; wszedł kamerdyner.

— Prosić szambelana von Waals.

Stawił się natychmiast.

— Zanieś pan ten telegram do dworskiego telegrafu, i zaczekaj na odpowiedź.

— A teraz, moje dziecię, trzeba pomyśléć o tobie; musisz być nadzwyczaj znużona i głodna.

— Och! najmiłościwsza królowo!

Królowa znów zadzwoniła.

— Podać tu śniadanie dla mnie i dla pani baronowej.

Podano śniadanie którego Emma skosztowała zaledwie; usłyszawszy najlżejszy odgłos kroków, drżała sądząc, że szambelan powraca. Przybiegł nareszcie, z depeszą w ręku.

Emma rzuciła się ku niemu, zapominając o obecności królowej; ale pomiarkowawszy się, zatrzymała się w połowie drogi, składając ukłon królowej.

— Racz mi naj. pani przebaczyć, rzekła.

— Weź depeszę i przeczytaj, odpowiedziała królowa.

Oto co zawierała depesza:

„Na prośbę ukochanej naszej małżonki, zwalniam miasto Frankfurt od zapłaty 25 milionów kontrybucyi, nałożonej przez jenerała Manteuffel.
Wilhelm I."

— Teraz więc chodzi tylko o to komu przesłać tę depeszę, aby na czas nadeszła. Tyś zaniosła prośbę, tobie więc należy się zaszczyt pozyskanego ułaskawienia. Wskaż osobę której mam doręczyć depeszę, która powinna dojść przed dziesiątą?

— Brak mi słów na podziękowanie w. k. mości za tyle dobroci i łaski, rzekła baronowa klękając przed królową i całując jej ręce. Podług prawa należałoby przesłać do burmistrza, ale któż wie czy nie opuścił Frankfurtu lub nie został aresztowanym? Daruj więc, naj. pani, ale skoro raczysz pytać mnie o zdanie, sądzę że najlepiej przesłać do babki mojej, pani von Beling, która najniezawodniej nie tracąc chwili czasu, doręczy depeszę komu należy.

— Stanie się jak prosisz, kochane dziecię, odrzekła królowa, i dopisała na depeszy:

„Łaskę tę wyświadczył królowej Auguście dostojny jej małżonek, król Wilhelm I, która wstawiła się o nią na prośbę dobrej swojej przyjaciołki, baronowej Fryderykowej von Below, pierwszej damy honorowej.
Augusta."

Emma padła do nóg królowej.

Królowa Augusta podniosła ją, uściskała i odejmując od ramienia własny order królowej Ludwiki przypięła go baronowej.

— A teraz, kochane dziecię, potrzebujesz dłuższego wypoczynku, gdyż jesteś nadzwyczaj znużona.

— Muszę śpieszyć z powrotem, miłościwa pani, bo tam czeka na mnie mąż i dziecko.

Jednakże zniewolona była czekać do pierwszej po południu, ponieważ żaden pociąg kolei nie odchodził prędzej. Królowa rozkazała mieć o niej staranie, jak gdyby już pełniła obowiązki damy pałacowej, nakłoniła ją aby spoczęła parę godzin i poleciła, aby zatrzymano dla niej oddzielny wagon do Frankfurtu.

Jednocześnie Frankfurt pogrążony był w niewysłowionej trwodze i niepokoju. Jenerał Roeder czekał z całym sztabem w sali posiedzeń Senatu, na zapłacenie nałożonej kontrybucyi. Wagi były ustawione.

O dziewiątej, artylerzyści zajęli miejsce przy

bateryach, z lontami zapalonemi w ręku. Patrząc na podobne przygotowania, Frankfurtczycy czuli, że miasto ich czeka zagłada, że od jenerałów pruskich łaski ani litości spodziewać się nie można było. Wszyscy pozamykawszy się w domach, oczekiwali z przerażeniem wybicia godziny dziesiątej, mającej zwiastować miastu jego zagubę.

Wtem nagle rozeszła się wieść przerażająca: nie chcąc być denuncyantem swych współobywateli, burmistrz Fellner przez powieszenie odebrał sobie życie.

Pięć minut po trzech kwadransach na dziesiątą, z mieszkania Fellnera wyszedł mężczyzna w żałobnem ubraniu, z powrozem w ręku — był to szwagier zmarłego, radzca von Kugler.

Szedł prosto nie zatrzymując się, nie mówiąc z nikim ze spotkanych na drodze. Stanąwszy przed gmachem posiedzeń Senatu, odepchnął żołnierza zagradzającego mu wejście i poszedł wprost do sali posiedzeń do jenerała Roeder przed którym stały wagi, i rzuciwszy na jedną trzymany w ręku powróz:

— Oto jest, rzekł, okup miasta Frankfurtu.

— Co to ma znaczyć? zapytał Roeder.

— Ma znaczyć, że burmistrz Fellner wolał powrozem tym odebrać sobie życie, niż spełnić pańskie rozkazy. Niechaj śmierć ta spadnie na głowy tych co stali się jej powodem!...

— Ależ, odrzekł brutalsko jenerał Roeder nie przestając palić cygara, trzeba przecież, żeby kontrybucya była zapłacona.

— Czy nawet w razie, jeźli król Wilhelm I zwolni od niej Frankfurt? rzekł spokojnie wchodzący właśnie do sali Benedykt Turpin.

I rozwijając depeszę odebraną przez panią von Beling, odczytał ją głośno, aby tak jenerał von Roeder, jako też wszyscy obecni treść jej poznali.

— Radzę panu, rzekł, zapisz sobie te dwadzieścia pięć milionów florenów w rubryce straconych korzyści. Mam zaszczyt zostawić panu depeszę, jako dowód autentyczny.

XLII.

Dwa pogrzeby.

Tak więc dwie jednocześnie wiadomości rozeszły się w Frankfurcie: jedna przerażająca druga radośna.

Przerażającą była wiadomość, że burmistrz miasta, człowiek tak zacny i szanowany powszechnie, piastujący dwa najwyższe dostojeństwa, burmistrza i senatora, ojciec sześciorga dzieci, wzór wszelkich cnót rodzinnych, najlepszy mąż i ojciec, wolał przez powieszenie pozbawić się życia, niż wydać chciwemu i grubiańskiemu żołdakowi tajemnicę majątków rodzinnych.

Radośną, że na prośbę pani baronowej von Below i wstawienie się królowej Augusty, król pruski zwolnił Frankfurt od płacenia narodowej kontrybucyi.

W całem mieście o niczem innem nie mówiono. Te dwie tajemnicze śmierci mające miejsce prawie jednocześnie, budziły powszechną ciekawość i zajęcie. Zadawano sobie pytanie, co skłoniło Fryderyka von Below, że gdy w następstwie zniewagi wyrządzonej mu przez jego jenerała, postanowił odebrać sobie życie, zanim tego dokonał, włożył na żonę obowiązek odbycia jakby świętej pielgrzymki do Berlina, w sprawie miasta będącego obcem dla niego, dla niego, który duszą i ciałem należał do wojska pruskiego. Czyżby chciał tym sposobem okupić gwałty jakich współziomkowie jego dopuszczali się w mieście?

Młodzi oficerowie, którzy byli świadkami kłótni Fryderyka z jenerałem nie zachowali jej w takiej tajemnicy, aby nikomu nie objawić jej powodu. Młode ich serca nie miały jeszcze czasu zaschnąć pod tchnieniem pychy i żądzy awansów, nie zatarło się w nich jeszcze wszelkie poczucie sprawiedliwości i krzywdy, jak u starych żołnier y nawykłych do ślepego posłuszeństwa, bez względu na jakość wydanych rozkazów. Duma wielu cierpiała na tem, że służyli za proste narzędzia zemsty, której powody ginęły w tajemniczej niechęci ministra a dawnego posła. Ci odzywali się, iż nie żołnierskie pełnią zadanie, ale obowiązki egzekutorów i policyantów.

Tacy nie kryli się ze swojem zdaniem, a nie stojąc wcale po stronie swego jenerała, nie wahali się wyjawić w krótkości powodu zajścia, dozwalając się domyśléć szczegółów.

Drukarze odebrali rozkaz, aby nie drukowali żadnych ogłoszeń bez upoważnienia komendanta placu; każdy jednak gotów był przekroczyć ten rozkaz, czego dowodem, iż właśnie w chwili, gdy radzca Kugler rzucił jenerałowi Roeder na wagę cięższy niż szpada Brennusa, powróź, na którym powiesił się burmistrz miasta, tysiące rąk nieznanych i niewidzialnych, rozlepiały po murach miasta następujące obwieszczenie:

„Dziś w nocy, o trzeciej rano, czcigodny burmistrz Fellner, męczennik poświęcenia swego dla Frankfurtu, przez powieszenie odebrał sobie życie. Obywatele módlcie się za niego!”

Benedykt ze swej strony udał się do drukarni „Dziennika pocztowego” i właściciel jej zobowiązał się dostarczyć mu za dwie godzin dwieście egzemplarzy kopii telegramów królowej i króla. Nadto przyrzekł dokonać rozlepienia ich przez zwykłych swoich afiszerów, którzy chętnie się narażają byle jak najśpiesniej urzędownie zwiastować współobywatelom tę dobrą wiadomość.

Wzięto takiż sam format i kolor papieru, oraz takież same czcionki jak te któremi wydrukowane były obwieszczenia o samobójstwie Fellnera.

We dwie godzin później, obok pierwszych rozlepiono dwieście następujących ogłoszeń.

„Wczoraj, o drugiej po południu, jak wiadomo, baron von Below zastrzelił się w następstwie zajścia z jenerałem Sturm, który go znieważył. Powody zajścia tylko dla niechcących ich poznać pozostaną tajemnicą.

„W piśmie w którem skreślił ostatnią wolę swoją, polecił pani von Below, aby niezwłocznie udała się do Berlina, z prośbą do królowej Augusty, aby naj. pani wstawiła się do króla o zwolnienie Frankfurtu od kontrybucyi 25 milionów, nałożonej na miasto przez jenerała Manteuffel. Baronowa przywdziała żałobne szaty i pojechała natychmiast.

„Szczęśliwi jesteśmy mogąc zakomunikować współobywatelom obydwa nadesłane przez nią telegramy.”

Tu powtórzono oba znane czytelnillom telegramy.

Łatwo pojąć jak liczne tłumy zbierały się przed temi obwieszczeniami. Ruch ludności był tak ogromny, iż zakrawał na początek zaburzeń; władze wojskowe nakazały uderzyć w bębny, patrole snuły się po mieście, wydano mieszkańcom rozkaz wracania do domów.

Wskutek tego ulice opustoszały. Kanonierzy, którzy jak powiedzieliśmy wyżej, zapalili lonty o godzinie 10-ej, stali tak z niemi przy działach. Groźba ta trwała przez trzydzieści godzin z rzędu. Gdy jednak po upływie tego czasu zbiorowiska się nie powtarzały, żadne zaburzenia nie miały miejsca, żaden strzał nie dał się słyszéć, groźne te rozporządzenia ustały z dnia 25 na 26 lipca.

Nazajutrz rano rozlepiono nowe plakaty następującej treści:

„Jutro, dnia 26 lipca, o 2-ej po południu odbędą się dwa pogrzeby: burmistrza Fellnera i szefa sztabu głównego pruskiego, barona Fryderyka von Below.

„Kondukta wyjdą z miejsc zamieszkania zmarłych i połączą się w katedrze, gdzie odbędzie się uroczyste nabożeństwo za obu męczenników.

„Rodziny zmarłych sądzą, że inne zaproszenia byłyby zbyteczne, i że miasto Frankfurt nie omieszka spełnić swego obowiązku.

„Orszakowi pogrzebowemu burmistrza Fellnera przewodniczyć będzie szwagier jego radzca Kugler, a kondukt szefa sztabu głównego barona Fryderyka von Below poprowadzi pan Benedykt Turpin, wykonawca jego testamentu.”

Nie probujemy nawet opisywać rozpaczy dwóch osieroconych rodzin. Pani von Below powróciła w 24 godzin, około pierwszej po północy. Wszyscy w domu czuwali modląc się przy zwłokach zmarłego. Kilka najznakomitszych pań przyszły oczekiwać jej przybycia i powitały ją jak anioła pocieszyciela, jak zesłankę niebios.

Po kilku chwilach wszyscy opuścili pokój w którym martwe spoczywały zwłoki, i pojmując jak święte uczucie nakazywało jej wrócić tak bez wytchnienia, zostawioną ją samą przy zmarłym.

(D. c. n.)

Międzynarodowa wystawa elektryczności W PARYŻU.

Wystawa ta zwróciła powszechną uwagę uczonego świata na pałac przy Polach Elizejskich, w którym ugrupowano najważniejsze i najciekawsze zastosowania elektryczności. Szczególniej wieczorami tłumy cisną się na wystawę, podziwiając niezliczone ogniska światła elektrycznego, oświetlającego wielką nawę pałacu.

Nie ma dziś prawie przemysłu do którego nie byłyby stosowane prądy elektryczne, z większą czy mniejszą korzyścią; to też wystawiono niezliczoną liczbę machin będących w ruchu. Nie dajemy szczegółowego sprawozdania, bo przyszłoby nam rozpisywać się o wszystkich gałęziach przemysłu, począwszy od eksploatacyi kolei żelaznych, zegarmistrzowstwa, metalurgii i t. p., aż do telegrafii, telefonii i t. d. Zastanowimy się głównie nad dwoma nader ważnemi zastosowaniami elektryczności, górującemi po nad innemi, które w niedalekiej już może przyszłości najpierwszą odegrają rolę, a temi są: przenoszenie siły za pomocą elektryczności, i wytwarzanie światła elektrycznego.

Przeszło 1500 machin parowych, przeznaczonych jest wyłącznie w pałacu przy Polach Elizejskich do *wyrabiania* elektryczności, którą dziś już można wyrabiać przemysłowo; jest ona zużytkowaną z kolei do wytwarzania siły poruszającej machi-

ny lub do wytwarzania światła. Wiadomo, że aż do roku 1790, do pamiętnych doświadczeń Galwaniego i Volty, znano tylko elektryczność statyczną nagromadzoną przez tarcie na powierzchni ciał. Gdy elektryczność ta, poniekąd unieruchomiona i uwięziona na miejscu, dochodziła wielkiego napięcia, ulatała w postaci iskry. W r. 1800 stos Volty stał się dla fizyków punktem wyjścia do całego szeregu zadziwiających odkryć; poznano elektryczność pod inną postacią, *elektryczność dynamiczną*, która nie trzymając się powierzchni ciał przebiega po drutach metalowych z niepochwycalną szybkością i przenika na wskroś przewodniki. Prąd elektryczny wydobywający się ze stosu, może przebiegać wielkie odległości, i wiadomo, iż został zastosowany do telegrafii, galwanoplastyki i t. d.

Aż do naszych czasów, jedynym *generatorem* elektryczności był udoskonalony stos Volty, dostarczający elektryczności na mocy prostej ogólnej zasady: że elektryczność wytwarza się ilekroć zmienia się molekularny stan ciał." Uderzenie młotkiem o blachę, tarcie sztaby wytwarza elektryczność. Więcej jej jeszcze wytwarzają zmiany chemiczne, które silniej daleko niż fizyczne oddziaływają na zniweczenie molekularnej równowagi ciał. W stosie wydobywanie się elektryczności dokonywa się przez działania chemiczne, wytwarzające się między zetkniętemi ciałami, i można powiedzieć, że we wszystkich prawie stosach elektryczność wytwarza się skutkiem oddziaływania kwasu na cynk. Cynk oksyduje się, rozpuszcza, i o ile go ubędzie o tyle wytworzy się elektyczności. Pod każdym względem można porównać cynk do kotła parowego. W kotle spala się węgiel dla wytworzenia pary; w stosie pochłania się cynk dla wytworzenia elektryczności; tylko że cynk kosztuje 15 razy drożej niż węgiel, spalenie zaś jego daje 5 razy mniej ciepła, a wiadomo że ciepło i elektryczność są to siły równoważne; dana ilość cieplika odpowiada danej ilości elektryczności i naodwrót. Tak więc stos tylko z wielkim kosztem i w niedostatecznej ilości wytwarzać może elektryczność, i wtedy tylko możnaby zastosować go do przemysłu, gdzie można poprzestać na słabych i nielicznych prądach, jak np. w telegrafii. (*)

Tak więc stos nie rozwiązywał zadania zadawalniająco; jak to zwykle bywa, rozwiązanie to nastąpiło stopniowo, na różnych zatrzymując się stacyach. Dopiero w r. 1830, Faradaj doszedł, iż dość jest zbliżyć lub oddalić drut metalowy do magnesu, aby za każdą zmianą odległości, wywiązywał się w tymże drucie natychmiastowy prąd elektryczny, w chwili zbliżania w jednym, albo oddalania w innym kierunku. Otóż mamy prosty bardzo sposób wytwarzania elektryczności. Przez każdą cewkę na którą nawinięte są odosobnione przez jedwab druty, za zbliżeniem lub oddalaniem jej od magnesów, przebiegać będzie szereg prądów elektrycznych. Na tej zasadzie fizycy zbudowali pierwsze machiny *elektro-dynamiczne*. Ogólnikowo określić można je w ten sposób: że zasadzają się po prostu na kłębku odosobnionych drutów metalowych, obracających się *bez zetknięcia* przed biegunami magnesu.

(*) W ostatnich czasach mówiono wiele o „stosach ekonomicznych", które za nic prawie dostarczałyby elektryczności. Miały się one zasadzać na kombinacyi oddziaływań chemicznych zużytkowanych do produkowania wytworów mogących być sprzedawanych z korzyścią. Nie jest to niepodobieństwem, ale dotąd dowodzeń tych nie potwierdziła praktyka.

Prądy te pochodzące od machin magneto-elektrycznych, nazywają się *prądami indukcyjnemi*, a magnes powodujący ich wytwarzanie się *induktorem*.

Obecnie zmierzają do tego, aby magnesy zastąpić elektro-magnesami. Wiadomo iż dopóki prąd w drucie owiniętym spiralnie w około żelaznego walca tenże przebiega, żelazo nabiera i zatrzymuje własności magnesu, tracąc je dopiero z ustaniem prądu. Tym sposobem można wytwarzać magnesy 25 razy potężniejsze od naturalnych. Machiny których induktorem jest elektro-magnes, noszą specyalną nazwę *machin dynamo-elektrycznych*.

Aby wytwarzać elektryczność za pomocą tych nowych maszyn, dość jest wprawić je w ruch za pośrednictwem machiny parowej lub motoru do gazu. Tym sposobem potężne dostawione na wystawę machiny parowe, przyprzężone są do bardzo wielu małych machin dynamo-elektrycznych. W tej istnej fabryce elektryczności, węgiel się w nią zamienia; a że, jak powiedzieliśmy, kosztuje on 15 razy taniej od cynku, porównawszy zatem koszt otrzymania światła przez elektryczność machin i przez elektryczność stosu, wykaże się iż oświetlenie z pomocą stosu 400 beków karcelowych na godzinę, wyniesie 24 fr., zaś z pomocą machiny, 2 fr. a jeźli doliczymy zmniejszenie godzin pracy, o jednego lub pół nawet franka, łatwo więc pojąć, że wynalazek machin dynamo-elektrycznych, otworzył elektryczności podwoje różnorodnych gałęzi przemysłu, gdy przy użyciu stosów zaledwie w bardzo ograniczonym zakresie mogła być zastosowaną.

Wykazawszy, że tanim stosunkowo kosztem można wytwarzać elektryczność, i to choćby w jak największej ilości, posługując się jedynie pracą mechaniczną, należy jeszcze wykazać, że jeźli siła mechaniczna może zamienić się w elektryczność, to na odwrót i elektryczność zamienić się może w siłę mechaniczną, czyli że z pomocą elektryczności możemy wprawiać w ruch machiny. Od dawna już było marzeniem wynalazców, aby machiny parowe zastąpić motorami elektrycznemi. Obmyślano ich całe setki, ale że wymagały użycia stosu, zatem praca załatwiana z ich pomocą była za kosztowną. W roku dopiero 1873 p. Fontaine wykonał doświadczenie zapewniające nadspodziewane następstwa.

Machina dynamo-elektryczna, obracając się wytwarza elektryczność i nawzajem za puszczeniem prądu na też samą machinę, zaczyna się ona obracać. Na wystawie wiedeńskiej, pan Fontaine wprawił w ruch obrotowy machinę dynamo-elektryczną Gramma, a drutem przewodnim mającym 1000 metrów długości, przesłał prąd wytworzony do drugiej takiejże samej machiny, która z kolei zaczęła się obracać i poruszać pompę. Tak więc machina dynamo-elektryczna, może stać się wybornym motorem elektrycznym. Nie można jednak obejść się bez machiny parowej, gdyż ona to wywołuje prądy i w rzeczywistości jej siłę przekazuje się z odległości: elektryczność przenosi ją tylko. Prąd jej posłuszny jest naszym żądaniom; można z łatwością i dowolnie przenieść siłę za pomocą prostego drutu; można sprowadzić siłę obrotową telegrafem; przeprowadzić ją przez dziurkę od klucza, do domów, na dachy, słowem gdzie chcemy. Dość jest umieścić gdzieś zbiornik siły, a z łatwością za pośrednictwem drutu metalowego, możemy przekazywać jej działalność tam gdzie ją najkorzystniej zużytkujemy, i to nie siłę kilkunastu, ale setek koni. Zdaje się, że w niedługim czasie, przemysł będzie mógł znaczne z tego ciągnąć korzyści.

Rzecz prosta, że przenoszenie pracy machiny parowej do dynamo-elektrycznej, nie może odbywać się bez straty. Siła wynosząca z punktu wyjścia 100, dochodząc gdzie ją przekazujemy, wynosie 45 do 50 — traci się więc połowę i jest to odwrotna strona medalu. Lecz pomimo to korzyści są niezaprzeczone.

Wszystkie maszyny i przyrządy funkcyonują na wystawie za pomocą tego sposobu przenoszenia siły. Wentylatory, maszyny do szycia, pompa o sile 20 koni, maszyna do wiercenia w kopalniach i t. p. są poruszane siłą machin dynamo elektrycznych. Druty krzyżują się na wszystkie strony, przenosząc działanie mechaniczne wytworzone palącym się w kotłach węglem, dla podsycania pary wielkich motorów rozmieszczonych w galeryi. W ciągu dnia, część elektryczności wprawia w ruch machiny; wieczorem zasila lampy i ogniska elektryczne.

Od czasu gdy wykazanem zostało że można rozsyłać siłę z wielkiej odległości, kwestya zużytkowania sił przyrodzonych w całkiem odmiennem przedstawia się świetle. Według obliczeń p. Deprez, możebnem byłoby przenoszenie siły na odległość 350 kilometrów nie tracąc więcej jak 50 na 100 od punktu jej wyjścia. W takim razie dla czegoż nie miałoby być korzystnem zużywanie na miejscu siły strumieni, spadków wody, wiatru, i przenoszenie jej telegrafem do wielkich ognisk przemysłu. Obliczano że sam wodospad Niagary, mógłby dostarczać elektryczności do oświetlenia całego świata, jak również przypływy i odpływy mórz. Dopokąd nie umiano przenosić siły, nie przedsiębrano poważnych na tej drodze dochodzeń, obecnie można się spodziewać że choćby podniecani własnym interesem, wynalazcy zajmą się tą kwestyą, i nie bez nadziei powodzenia, a wszelkie marnujące się dziś siły, zostaną korzystnie zużytkowane. Pod tym względem możemy doczekać zupełnego przewrotu w sposobie spożytkowania siły ruchu.

I nie są to płonne nadzieje gdyż nowy ten system został już wprowadzony w praktykę i to jeszcze przed obecną wystawą. W r. 1877, w warsztatach Saint-Thomas d'Aquin, oficerowie artyleryi przenieśli siłę machiny parowej do odosobnionego pawilonu, odległego o 60 metrów. Podobne zastosowanie miało miejsce na drodze żelaznej Lyońskiej, w warsztatach Val-d'Osne; jakoteż przez ulice Paryża do składów Luwru, i w. i. Siła przenoszoną jest po drutach przeciągniętych po nad domami, do warsztatów dodatkowych. Najciekawsze zastosowanie miało miejsce w 1879 r. w cukrowni Sermaize, do uprawy roli i prac pomocniczych. Kampania cukrowa trwa tylko cztery miesiące, machiny zatem parowe stały bezczynnie. Powzięto myśl spożytkować je do wprawiania w ruch machin dynamo-elektrycznych, które za pomocą drutu mającego kilka milimetrów grubości, poruszają machiny wprawiające w ruch pługi, młocarnie i t. p. Ponieważ drut można przenosić dowolnie, system ten okazał się bardzo praktyczny; można z łatwością zaorać 30 do 40 akrów na godzinę. (*) Pług użyty w Sermaize przedstawiony jest na Wystawie. Podczas zimy też same machiny posługują do oświetlenia fabryki.

(D. n.)

(*) Acr. 100 metrów kwadratowych.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Dzieje Polski w zarysie, przez Michała Bobrzyńskiego. Warszawa 1879 roku.

Praca pana M. Bobrzyńskiego należy do zakresu rozumowanego i krytycznego traktowania dziejów pod względem ich rozwoju — do zakresu dzieł oceniających przeszłość, badających przyczyn upadku i sądzących przychylnie lub z naganą osobistości historyczne.

Jest to więc tak zwana historyozofia czy filozofia historyi, którą Koronowicz (Wróblewski), jeden z poprzedników p. Bobrzyńskiego, a raczej najznakomitszy jego poprzednik, chociaż trzymający się zupełnie innego punktu zapatrywania, bo demokratyczno-szlacheckiego, nazywa też „Słowem dziejów polskich”. (Dzieło Koronowicza pod tym tytułem wyszło w trzech tomach w Lipsku przed 20 z górą laty.)

Dzieło p. Bobrzyńskiego nie jest więc bynajmniej opowiadaniem historyi polskiej, lecz tylko pociągnięciem przeszłości, w głównych jedynie jej objawach dziejowych, przed trybunał surowego sędziego. Książka ta sprawiła nieco wrzawy w prasie naszej, jako owoc pracy, bądź co bądź, pod wielu względami samodzielnej, podjętej przy pomocy studyów sumiennych i wykonanej z talentem. Pojawiły się nawet bardzo ostre sądy o pracy pana Bobrzyńskiego, zarzucające mu pesymizm, pogardą dla przeszłości i zbyteczne doktynerstwo prawnicze. Wrzawa ta, zdaniem naszem, niezupełnie była uzasadnioną, gdyż pomimo oryginalności w niektórych drobniejszych poglądach — oryginalności, na którą autor widocznie się sili i za którą nieraz goni zbyt forsownie, całość jego zapatrywania się nie przedstawia tak dalece nic nowego i niesłychanego. Na czem bowiem zależy ten jego pogląd? Oto p. Bobrzyński twierdzi, że dawna Polska upadła dlatego, że nie zdołała sobie wyrobić silnego i trwałego rządu — rzecz w gruncie prawdziwa i oddawna wiadoma. Błędność zaś czyli raczej jednostronność tego poglądu tkwi w tem, że autor całą winę, niezbudowania trwałego rządu zwala na królów, szlachtę i magnatów. Nadto autorowi zdaje się, że gdyby Polska była miała rząd silny, to już wszystko byłoby dobrze poszło i dzieje byłyby zawróciły na tór inny — co jest rzeczą niewiadomą i należy do zakresu fantastycznych wywodów na temat: „gdyby się było stało A, nie zaś B, to następnie nie byłoby C, lecz byłoby D i t. d.

Pan Bobrzyński jest specyalistą prawnikiem i sądzi cały rozwój dziejowy z punktu widzenia prawno-państwowego. Niewątpliwą jego zasługę stanowi położenie większego niż dotąd było nacisku na urządzenie państwowe w dziełach historycznych i wprowadzenie nawet do samego wykładu określeń tyczących się form społecznych i państwowych, ale to górujące znaczenie państwa w jego historyozofii można nazwać objawem doktrynerstwa, nieco zatrącającego rozpierającemi się dziś w polityce i nauce niemieckiej pojęciami żelaznego Bismarka. Państwo jest organizacyą społeczną i bez państwa społeczeństwo istnieć nie może, ale żeby coś uorganizować, do tego potrzebne są pierwiastki i żywioły, których wyrobienie i ukształcenie jest koniecznem i bez których państwo istnieć nie może. Stronę moralną, umysłową i ekonomiczną rozwoju dziejowego nasz autor uwzględnia bardzo mało; ztąd jego książka jest raczej zarysem dziejów państwa i rządu w Polsce, nie zaś zarysem całokształtu dziejów polskich.

W swojej jednostronności autor widzi w braku silnego rządu *jedyną* przyczynę upadku Polski; a jednak historya świata uczy nas, że upadały nieraz państwa i z bardzo silnym rządem.

Dawna Polska upadła, a więc (nietrudno wnioskować) wiele rzeczy musiało być w niej złych; państwo i rząd polski upadły, a więc były złe i słabe; są zaś i tacy, co znajdują, że *wszystko* złe było.

Przytoczone rozumowanie bynajmniej nie jest karykaturą: *trzeźwi* historycy i myśliciele hołdują u nas często takiej logice, która tłomaczy nam ich błędy i przesadę. Taka filozofia, oparta na *może* i *gdyby* w dziwny sposób kojarzy pozytywną „trzeźwość rozsądnego zapatrywania się na przeszłość” z fantastycznem marzycielstwem, puszczającem wodze abstrakcyjnym przypuszczeniom, czczym teoryjkom i systemacikom, które są godne być zabawką dziecinną.

P. Bobrzyński w gruncie rzeczy (chociaż sam tego nie dostrzega), hołduje nieraz zaznaczonej powyżej logice; wskutek tego i u niego często trzeźwy pesymizm łączy się z pozbawioną podstaw klasyfikacyą i nieuzasadnionemi mrzonkami fantastycznych przepowiedni, wróżb i bezwzględnych twierdzeń.

Wiele ustępów w dziele pana Bobrzyńskiego, wiele pojedyńczych uwag i zapatrywań się moglibyśmy przytoczyć na dowód powyżej scharakteryzowanych dążności autora; od istoty jego poglądu zależą także i niektóre nowości w sądach i podziałach — tak że pan Bobrzyński bardzo często nie systemat wyprowadza z dziejów, jak być powinno, lecz dzieje nakręca do swego systematu.

(D. n.)

Obrazki z życia północno-wschodniej Afryki przez J. Finkelhausa. Nakładem F. Sulimierskiego w Warszawie.

Dziś, gdy w Afryce północnej rozlega się szczęk oręża, a okrzyki roznamiętnionych Arabów napełniają każdy kąt kraju wzywając do świętej wojny z Francuzami, obrazki pana Finkelhausa nabierają podwójnej wartości, zaznajamiając w formie przystępnej i interesującej polskich czytelników z odległym tym krajem i z jego mieszkańcami.

W roku 1878 pan F. w czasie swego pobytu w Paryżu zaznajomił się z doktorem Landowskim, właścicielem stacyi leczniczej w Algieryi i wkrótce potem wraz z nim udał się przez Marsylią do północnej Afryki. Stylem barwnym, zaprawianym często dowcipem, na którym widać jednak wpływ francuzkiej literatury, opisuje autor wrażenia podróży. Algier zdaniem p. F. posiada czarujący klimat, olbrzymie bogactwa, zachwycającą roślinność, jednem słowem byłby to istny raj ziemski — gdyby nie częste — ale.

Ujemną stronę Algieru i wogóle północnej Afryki stanowi otwarta a częściej tajona nienawiść rasowa Europejczyków z Arabami i wogóle mahometanami. Wykwintna i z europejskich stosunków powstała cywilizacya francuzka, musi ujemnie wpływać na ludy semickie, które nie przeszły wszystkich faz historycznych i społecznych ludów aryjskich osiedlonych w Europie. Dotknięcie tej cywilizacyi, która najczęściej swą jaskrawą a niezbyt dodatnią stroną wpływa na ludy barbarzyńskie, musi wywołać zjawisko stopniowego wymierania rasy obcej, usuwania się w głąb' kraju, chronienia się krajowców wśród gór i lasów, aż wreszcie mała cząstka, wytrzymalsza zamalgamuje się z rasą napływową i przyjmie jej cywilicyą. To zjawisko można wybornie obserwować na ludach dzikich i barbarzyńskich w Ameryce, na wyspach oceanu w Australii i w południowej Afryce, a niemniej spostrzegał to pan Finkelhaus w krajach, które opisuje nam w swej cytowanej książce.

Walka ta dwóch ras jest smutną, ale nieodzowną koniecznością historyczną; jej stopniowe zaognienie i jej przebieg przedstawiają dla historyka cywilizacyi przedmiot niejako anatomicznych badań ducha ludzkiego, zaś dla poety temat do tragicznych, grozą i współczuciem przejmujących obrazów.

Pan Finkelhaus nie pokusił się ani o jedno ani o drugie — dał nam sylwetki powieściowe, zaprawione dość znaczną dozą fantazyi, okazując wszędzie swą tendencyjną sympatyą dla Arabów i niechętnym okiem spogląda na cywilizacyą francuzką.

Jest on w tym razie raczej powieściopisarzem, poetą — ale nie podróżnikiem, który bezstronnie spisuje swe spostrzeżenia. Nie rozumiemy też czemu nędzne i liche chaty Arabów (jak je opisuje p. F.) mają pozostawać w większej harmonii z otaczającą naturą, aniżeli domy, dworki i kamienice stawiane przez europejczyków.

Los kobiet arabskich nie jest wcale do pozazdroszczenia; zamknięte w haremach, póki ładne i młode, są zabawką swych mężów i panów w klasie zamożnych, u biednych pełnią najniższe posługi, traktowane niemal na równi z siłą roboczą fizyczną, nie doznając opieki i względności.

Ładnym ustępem w książce p. Finkelhausa jest skreślenie wpływu francuzkich pensyonatów na młode Arabki. Wychowane i kształcone na pensyonatach w atmosferze wolności i osobistej godności kobiet europejskich, po powrocie do domu zostają niewolnicami zwyczajów i obyczajów arabskich. To zetknięcie powoduje bardzo smutne następstwa: nabyte wyobrażenia nie mogą się pogodzić z rzeczywistością, a ztąd rozbrat z życiem, walka wewnętrzna, która kończy się najczęściej u silnych katastrofą śmierci lub ucieczki, u słabych bezsilnem szamotaniem w poddaniu się i wczesnem zwiędnięciem uczucia, poezyi i obowiązków.

Względnie lepszym jest los Kabylek, są one przynajmniej wolne o tyle, że swobodnie wychodzą z domu a trudniąc się gospodarstwem domowem, nie czują tej strasznej próżni, która idzie w ślad za próżnowaniem i bezmyślnem przebywaniem w haremach.

W swej książce poruszył też p. F. kwestyą religijną. Francuzi i wogóle koloniści są po większej części indyferentnymi a często nieprzyjaźnie usposobionymi dla kościoła chrześciańskiego, to też nie ma tam niechęci ku religii mahometańskiej. Natomiast Arabowie pobudzani przez fanatycznych a namiętnych chuanów (mnichów arabskich) nienawidzą chrześciaństwa, a wojna w imię wiary, znajdzie zawsze odgłos w tłumach arabskich, jak to zresztą dowiodły ostatnie wypadki polityczne rozgrywające się w północnej Afryce.

W swe gawędy wplata p. F. zręcznie statystyczne dane odnoszące się do handlu, przemysłu i rolnictwa północnej Afryki; interesujące te szczegóły świadczą, że pan F. pilnie studyował dzieła odnoszące się do Algieryi i, jak to każdy uczciwy podróżnik zrobić powinien, trzy czwarte wiadomości posiadał zanim zwiedził kraj obcy.

Niesmacznemi wydają się nam jednak owe dowcipy na temat archeologii i archeologów. Naszem

zdaniem, każda gałęź wiedzy ludzkiej zasługuje przynajmniej na szacunek.

Stanowi bowiem jedno z ogniw olbrzymiego łańcucha, który łączy ludzkość w imię wiedzy i postępu i prowadzi do postępu coraz wyższego.

Zatem i archeologia, która tak ważne i doniosłe korzyści przynosi dziejom cywilizacyi, nie zasługuje na żarciki i drwinki, tem bardziej, że są nieuzasadnionemi i polegają jedynie na nieznajomości autora zupełnie tego przedmiotu.

Zresztą możemy sumiennie polecić tę książkę naszym czytelniczkom, gdyż lekka forma jednoczy się z poinformowaniem się o nieznanym a godnym poznania krajem.

A. G.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Oto co piszą z Włoch o prelekcyach autora „Lirenki” w Akademii Mickiewicza w Bolonii. Coroczne te wykłady zyskały już sobie ogólne we Włoszech uznanie, a w r. b. przyjęte były z większym jeszcze zapałem niż przeszłoroczne. Sprawozdania zamieszczone w różnych dziennikach włoskich, jednozgodnie największe oddają pochwały naszemu prelegentowi. Gdyby stan zdrowia dozwalał Lenartowiczowi, mógłby jak tego sobie życzą w Bolonii, zająć stale katedrę profesora literatur słowiańskich w tamtejszym uniwersytecie... Przed rozpoczęciem tegorocznych wykładów, dbali o powodzenie poety przyjaciele jego, radzili mu aby w odczytach swoich nie wspominał o Bogu, ponieważ mógłby zostać wygwizdany przez młodzież, dodając że nawet profesorowie uniwersytetu są pod tym względem bardzo ostrożni. Lenartowicz nie zastosował się jednnk do rady przyjaciół i postąpił wręcz przeciwnie — i powodzenie przeszło wszelkie oczekiwania.

Nowe dla młodzieży bolonskiej chrześciańskie poglądy prelegenta, zachwyciły słuchaczy; młodzież ta głośno potem wyznawała: że nikt jeszcze z tak wzniosłego i pięknego stanowiska nie dawał jej poglądu na literaturę. Pogodzili się z wyrazem Bóg i z religijnem stanowiskiem mówcy. Nieustanne oklaski i okrzyki przerywały wykłady, owacyom nie było końca. Sala przepełniona była młodzieżą, profesorami i znakomitościami różnych zawodów; gdy wszedł do niej Lenartowicz, wszyscy powstali, dla okazania mu swego szacunku i sympatyi. Z początku słabym, następnie coraz silniejszym głosem wypowiedział prelegent piękny swój wykład w języku włoskim.

+ Pan Filippi, krytyk dzieł sztuki, pisujący sprawozdania do włoskiej „Perseveranza” podaje w tymże dzienniku dość ciekawe szczegóły o grobowcu Romea i Julii w Weronie. Wiadomo, że w rzeczywistości jest on zarówno nieautentyczny jak i grobowiec Heloizy i Abaillarda, pokazywany na Peré-Lachaise, ale ostatni ma tę wyższość że przynajmniej piękniej się przedstawia. Grób kochanków z Werony jest to sobie *niby* mała wśród pola stojąca kapliczka, ale w rzeczywistości była to kiedyś prosta studnia wiejska do pojenia bydła, zamieniona w sarkofag dwojga bohaterów Schakespeare'a, ku wielkiej uciesze przewodników, cudzoziemców i kochanków. Pierwszy lepszy *cicerone* mówi p. Filippi opowiada zwiedzającym, że otwór służący do wpływania i odpływania wody, służył do przeprowadzenia powietrza, aby złożona w tym grobie uśpiona Julja, nie została zaduszona. Wszystko to są wierutne baśnie; ani wątpić że w starym tym zbutwiałym budynku poiły się konie, krowy i osły, ale nie spoczywała w nim nigdy ani żywa ani umarła Julja, dla tej prostej przyczyny, że nigdy nie istniała na świecie. Legenda ta sięga czasów Gidina di Sommą Campagna, który opiewał dzieje miłości Pirama i Tisby, dzieje nader popularne w średnich wiekach, na tle których Vincentino da Pósta osnuł nowellę *Mantecchi i Capuletti*, którą Szekspir wziął za treść nieśmiertelnej swojej tragedyi.

Ale czy przy tym pseudo grobowcu pojono bydło lub nie, Anglicy ani słuchać o tem nie chcą, a czułe lady i misses odbywają tu liczne wędrówki, zarzucając mniemany grób mniemanej Julii stosami wienców, bukietów i biletów wizytowych, na których mieszczą się napisy na cześć dwojga kochanków. Nie dość na tem, dodaje, niejedna miss, pod pozorem ucałowania drogiej pamiątki, korzysta ze swych długich i mocnych zębów, aby ugryźć kawałek spruchniałego drzewa — mające go zapewnie służyć za talizman i rękojmię wierności kochanków.

Czy nie rozczaruje ich czasem artykuł pana Filippi?

+ Dzienniki angielskie podają opisy strasznych burz jakie przed parą tygodniami srożyły się w zachodniej Europie. W miejscowości Stockton, nad rzeką Tees, wicher zerwał i uniósł daleko dach z ogromnej fabryki żelaza, w której pracowało stu robotników. Pięciu z nich zabiły spadające belki, a wielu pokaleczyły. Na wybrzeżach morskich panowało straszne przerażenie: z powodu rozbicia statków, znaczna liczba majtków i rybaków znalazła śmierć w rozhukanych falach morskich. Podczas szalejącego uraganu, rozbił się między innemi w pobliżu Narin, parowiec liwerpolski „Cypryan” płynący z Genui: z 30 do 40 ludzi osady, ośmiu tylko zdołano uratować. U wybrzeży Northumberlandu rozbił się rzucony burzą o skały, duży statek przewozowy „Jane and Hanuah”; nikt z osady nie został uratowany. Z Berwicku donoszą o zatonięciu 50 łodzi rybackich, skutkiem czego przeszło 200 ludzi utraciło życie. Na wybrzeżach pod Egemonth około 80 rybaków zatonęło; równie liczne katastrofy miały miejsce i na wybrzeżach szkockich, ale nie nadeszły jeszcze szczegółowe sprawozdania. Nie ma także żadnej wiadomości o wielu okrętach, które pewnie musiały zatonąć na pełnem morzu, i kto wie czy i kiedy znajdzie się jaki ślad po nich.

Rok ten zaznaczy się w dziejach szczególniejszemi przewrotami przyrody.

+ Ostatni numer „Gazety Pekińskiej” który doszedł do Europy, zawiera dekret cesarza Kwang-su, obwieszczający ludowi chińskiemu, iż druga cesarzowa regentka Tzu-lisi, która zachorowała niebezpiecznie przed kilku tygodniami, odzyskała już zdrowie, i objęła znowu ster rządu. Dekret wspomina z uznaniem o troskliwości jaką przez cały czas choroby dostojnej pacyentki, otaczało ją kolegium lekarskie. Członkowie jego wynagrodzeni zostaną w rozmaity sposób: pawiemi piórami, tytułami, czerwonemi lub błękitnemi guzikami i t. p. Drugi dekret poleca nadwornemu astrologowi, aby oznaczył odpowiedni dzień na pogrzeb cesarzowej regentki, zmarłej d. 8 kwietnia r. b. a trzeci odrzuca zażalenie kapłanów w Tienczynie, uskarżających się, że tuż obok świątyni „bożka życia” urządzono odlewalnię dział z machinami parowemi, których kominy wydają duszący i nieprzyjemny dym. — Jako powód nieuwzględnienia żądania powiedziane jest: że interesa państwowe wymagają, aby fabryka pozostała w miejscu gdzie jest wystawiona.

+ Wiadomo jest, iż ciała stałe i płynne są bardzo dobremi przewodnikami głosu. Dzicy Indyanie przykładając ucho do ziemi, słyszą z bardzo dalekiej odległości stąpanie zbliżającego się nieprzyjaciela, a zanim zastosowano elektryczność do telefonów, znane już były zabawki dziecinne złożone z dwóch rurek połączonych sznurkiem, który wytężony przenosił głos a nawet cichy szept, na znaczną do 300 stóp wynoszącą odległość.

Na ostatniem posiedzeniu Akademii Umiejętności w Paryżu, jeden z członków uczonego tego zgromadzenia, przeczytał memoryał dowodzący, iż ta własność ciał stałych już przed kilkuset laty była znaną. Na dowód swego twierdzenia przytoczył ustęp z dzieł żyjącego w XV wieku wielkiego malarza i uczonego Leonarda da Vinci, który pisał: Gdy jesteś na morzu a chcesz wiedzieć czy gdzie daleko płynie inny statek niewidzialny oczom, włóż jeden koniec szklannej rurki w wodę a drugi przyłóż do ucha — jeżeli statek płynie, usłyszysz szum żagli. Podobne doświadczenia możesz robić i na stałym gruncie. Włożywszy jeden koniec rurki w ziemię a drugi przytknąwszy do ucha, usłyszysz co się dzieje w znacznej odległości.

W wieku w którym żyjemy wszelkie zdobycze wiedzy lotem błyskawicy rozchodzą się po świecie i stają się niebawem własnością ogółu. Praojcom naszym zbywało na odpowiednich środkach komunikacyi i rozgłosu; pokazuje się jednak, że i oni robili różne spostrzeżenia i wiedzieli wiele, ale dochodzenia ich wraz z nimi zagrzebane zostały i tylko niekiedy oderwane ich ślady napotykamy przypadkiem w starych papierach. Wszak i tajemnica ognia gregoriańskiego zaginęła bez śladu, i pomimo licznych o nim wzmianek w dziejach starożytnych, powątpiewamy nawet czy rzeczywiście istniał kiedy.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie wizytowe. Suknia z frakowym stanikiem odrobiona z aksamitu, materyi gładkiej i brokateli lub adamaszku. Strojny frakowy stanik, garnirowany plisowaną koronką, otwarty z przodu, dopełniony gładkim plastronem przyciśniętym szerokim paskiem z agrafką a u góry szmizetką z indyjskiego muślinu.

Ubranie spacerowe. Suknia z paletotem wcinanym, oszytym wzdłuż przednich brzegów grubym sznurem jedwabnym danym także przy kieszeniach i rękawach. Kapelusz z jedwabnego pluszu zdobny piórami.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 21 Октября 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 45 r. 1881.

DZIEDZICZKA.

PRZEZ

FLORENCYĘ MONTGOMERY.

Przekład

K. P.

TOM I.

(Dalszy ciąg.)

Harold nie miał siły zdecydować się na to i zwlekał ciągle, tak samo jak wtenczas gdy szło o jego ożenienie. Myśl że jego ukochane Seaforth dostanie się w ręce syna Godfreda, była dla niego bardzo bolesną; czuł jednak że cięźej mu jeszcze będzie przywołać do swego domu syna nietylko Godfreda ale i Estery, któren będzie mu ciągle przypominać swą obecnością nadzieje któremi łudził się tak długo, i gorzki zawód który zatruł mu całe życie.

Jakże mógłby znieść obecność syna nienawistnego mu człowieka i jedynej kobiety którą kochał i której dotąd nie mógł zapomnieć?

Jednak po głębokim namyśle, zastanowiwszy się dobrze nad wszystkiem co mówiło za i przeciwko temu, zdobył się na potrzebną odwagę i list do brata został napisany i wysłany. Nie przez niego ma się rozumieć; o nie! był to list traktujący o interesie i skreślony przez notaryusza Seaforth'ów. Pod względem finansowym, Harold okazał się równie szczodrobliwym jak zwykle, ale też i warunki jakie stawiał bratu, były jak zawsze ostre i surowe.

Brał na siebie edukacyę, przyszłość i wydatki synowca, którego odtąd będzie uważał jak swego syna i spadkobiercę, ale pod warunkiem że Godfred zrzecze się na zawsze swej rodzicielskiej nad nim władzy.

Zaledwie list odszedł, a już czekał na odpowiedź z gorączkową niecierpliwością i sam nie umiałby powiedzieć czy wolałby ją otrzymać przychylną lub odmowną.

Zostawmy go siedzącego w bibliotece, smutnego, wzruszonego, przedstawiającego sobie w najczarniejszych kolorach otoczenie w którym żył jego spadkobierca, a pośpieszmy za jego listem do ślicznego kraju w którym przebywała rodzina szulera.

X.

W domu szulera.

— Czy kochasz mnie.. trochę... bardzo... z całej duszy... wcale...

— Zdaje mi się że stokrotki nie zawsze mówią prawdę, odezwał się dziecinny głosik, bo *jestem pewna* że kocham Godfreda *z całej duszy*, a one powiedziały już trzy razy *wcale*.

— Spróbój jeszcze raz, Wenecyo, odpowiedział drugi głos wesoły, wiesz przecie że trójka jest liczbą nieszczęśliwą.

— Tak, ale trzy razy trzy czyni dziewięć, a dziewiątka jest najszczęśliwszą liczbą, jak to ojczulek powiedział, odezwał się znów pierwszy głosik.

— Dla tego właśnie powtórz raz jeszcze! zawołał głos drugi: *Rouge ou noir* panowie, *rouge ou noir!*

— Cicho, Oliwio! odezwał się głos trzeci; wiesz że mama nie lubi abyśmy wyrażały się w ten sposób.

— To ojczulek nauczył mnie tego, odpowiedziała Oliwia.

Były to głosy trzech córeczek Godfreda Seaforth, które siedząc pod drzewami pomarańczowemi, układały bukiety z kwiatów. Wszystkie były śliczne, a z ich starannego choć skromnego ubrania, i z pełnej dystynkcyi powierzchowności, łatwo było poznać że są dziećmi angielskiego szlachcica. Miały na głowach wielkie płaskie kapelusze, używane powszechnie w tej okolicy, z pod których spadały ich długie jasne włosy; twarzyczki ramiona i ręce były starannie zabezpieczone od południowego słońca. Tworzyły zachwycającą grupę siedząc na murawie wśród kwiatów, i szczebiotały tak wesoło, że widocznie wygnanie na które zostali skazani ich rodzice nie zasmucało ich wcale.

Ucichły nagle. Usłyszały odgłos dobrze im znanych kroków, i natychmiast pobiegły w tę stronę rzucając na murawę kwiaty i bukiety, i wołając: „Ojczulek! ojczulek!"

Czy to być może aby człowiek do którego odnosiły się te okrzyki, wyglądający już na starca, był tym pięknym i wesołym Godfredem znanym nam dawniej? A jednak jego twarz posępna i znudzona rozjaśniła się gdy spostrzegł córki.

Jak się macie, małe figlarki? Cóż tu robicie? rzekł całując je po kolei.

Godfred wstawał późno, dla tego też nie widział ich dotąd.

Dziewczynki odpowiedziały mu jednocześnie, ale prawdopodobnie wcale ich nie słyszał. Po chwili zapalił fajkę, i odezwał się do nich:

— Kto chce pójść ze mną na spacer?

Pobiegły natychmiast wszystkie za nim, śmiejąc się i skacząc. A jednak nie mówił prawie z niemi; szedł zamyślony ze spuszczoną głową, włożywszy ręce w kieszenie, a fajkę w usta.

— Podnieś trochę głowę, ojczulku! zawołała Oliwia, średnia z jego córek, widzę że i tobie trzebaby ciągle przypominać żebyś się trzymał prosto.

Zatrzymał się, wyjął z ust fajkę, i rzekł z uśmiechem:

— Słuchajcie! niedźwiedziu, niedźwiadku i niedźwiadeczku, kto z was pójdzie dziś ze mną do Monako?

Codzień rano zadaje im to samo pytanie i w takiż sam sposób, i zawsze jednakowe odbiera odpowiedzi.

— Nie ja! odzywa się stanowczym tonem niedźwiedź.

— Nie ja! odpowiada mniej pewnie niedźwiadek.

— Nie ja! powtarza nieśmiało niedźwiadeczek.

Tego jednak rana przyszła ochota Oliwii odpowiedzieć inaczej, z głębokiem zdumieniem siostr, zawołała: „Ja!"

Godfred spojrzał na nią śmiejąc się głośno.

— A co ze mną zrobisz, ojczulku, jak tam pójdę z tobą?

Dzieci były bardzo ciekawe dowiedzieć się co ojciec robi w tem tajemniczem Monako, którego nie znały wcale.

— Przemienię cię w złoto, odpowiedział.

Nie zastanawiał się nigdy nad tem co do nich mówił.

— A! jak to brzydko tak żartować sobie ze mnie, rzekła dziewczynka.

— Ale ja nie żartuję wcale; mogłabyś mi być równie użyteczną jak worek złota. Może przyniosłabyś mi szczęście?

— Jakże to można przynieść szczęście? zapytała. Nie raz już mówiłeś to ojczulku, a ja nie mogę zrozumiéć co to znaczy.

— *Mnie* się o to nie pytaj, rzekł z goryczą, bo szczęście stroni zawsze ode mnie, i jestem zawsze nieszczęśliwym, Oliwio... Raz tylko w życiu szczęście mi sprzyjało, dodał ciszej.

— A kiedy? zapytała Oliwia.

— Małe dziewczynki nie mogą tego wiedzieć!

— Ojczulek nie chce mi nigdy powiedzieć tego co chciałabym wiedzieć, rzekła z zadąsaną minką rozpieszczonego dziecka.

— *Bo nie mogę!* odpowiedział z wymuszonym śmiechem, jakże chcesz abym ci wytłomaczył to czego sam nie rozumiem?

— Doprawdy, ojczulku, nasz brat Godfred umie daleko lepiej odpowiadać na nasze pytania; zawsze nam wytłomaczy wszystko zrozumiale. Muszę go się zapytać co to znaczy...

— I zrobisz najlepiej! zawołał ojciec, marszcząc brwi tak gwałtownie że piękne jego rysy przybrały jakiś szatański wyraz. On wie co to jest szczęście!

— Ojcze, rzekła z płaczem Oliwia, o co się tak gniewasz, czemu tak brzydko na mnie patrzysz?

Godfred uspokoił się i rzekł gładząc pieszczotliwie ręką jasne włosy dziewczynki:

— Nie gniewam się na ciebie, moje dziecię, ale na samego siebie. Chodź, pójdziemy do Monako.

— Czy naprawdę, ojczulku? zawołała Oliwia klaszcząc w ręce.

— Tak, naprawdę!

— A więc chodźmy!

Siostry przekładały jej aby pozostała, przypominały że nie wolno jej oddalać się bez pozwolenia z domu.

— Co tam, odpowiedziała Oliwia, mogę poprzestać na tem że ojciec pozwala mi iść z sobą.

— Wiesz że prócz pozwolenia ojca potrzebujesz mieć inne jeszcze, rzekła Estera.

Oliwia nie słuchając jej zaczęła biedz za ojcem.

— Zaczekaj na mnie, ojczulku, wołała.

Godfred Seaforth odwrócił się i rzekł śmiejąc się.

— Żartowałem tylko, Oliwio; nie zabiorę cię z sobą.

Biedna mała głośno płakać zaczęła. Czuła jakoś instynktownie że źle robi chcąc jechać z ojcem, zagłuszyła dręczący ją z tego powodu niepokój sumienia, naraziła się na naganę siostr, a tu teraz ojciec mówi że żartował tylko i zabierać jej nie myśli.

— Oj! to źle, bardzo źle z twojej strony, ojczulku, że taką igraszkę czynisz sobie ze mnie, mówiła łkając głośno.

Godfred śmiał się więcej jeszcze; nic go tak nie bawiło jak drażnienie popędliwej Oliwii. Estera i Wenecya zaczęły pieścić i pocieszać siostrzyczkę, ale nic to nie pomogło; jej miłość własna za dotkliwie była zadraśnięta, zawód zbyt wielki.

— Żałuję bardzo że nie ma Godfreda, on jeden

umie rozweselić i pocieszyć Oliwię, rzekła półgłosem Estera.

Godfred dosłyszał te słowa, i zwracając się do dzieci, zawołał żywo:

— Zostawcie mnie z nią, potrafię ją uspokoić zarówno jak Godfred. Chodźno do mnie, moja mała; widzisz, nie mogę cię zabrać, bo sama wiesz iż mama twoja nie pozwoliłaby na to.

— O tak! zawołała Wenecya, i Godfred także nie zezwoliłby na to.

Ojciec spojrzał na nią z gniewem i wyszeptał kilka obelżywych słów.

— No! nie płacz, Oliwio, zawołał nagle, wezmę cię, tylko zabieraj się prędko. Biegnij do domu, Estero, i powiedz matce że zabieram Oliwię i odwiozę ją którymś z pierwszych pociągów. Prędzej, prędzej Oliwio! daj mi rękę i chodźmy prędko żeby się nie spóźnić na kolej. Żeby tylko małe twoje nóżęta wydążyły biedz ze mną, byle się dostać do kolei, *a potem niech się co chce dzieje!*

I wybiegł prędko z Oliwią pozostawiając inne dzieci oniemiałe z zadziwienia. Estera zamyśliła się poważnie; śliczne oczki Wenecyi wyrażały niepojęte zadziwienie.

— Nie miał prawa tak postąpić, a ona nie powinna z nim jechać, rzekła po chwili Estera.

Dziewczynki wróciły smutnie do gaiku pomarańczowego, lecz młodsza z nich zapomniała wkrótce o wszystkiem spostrzegłszy stokrotki rozrzucone na murawie: usiadła wśród nich i zaczęła znów oskubywać listki, powtarzając:

— Czy mnie kocha? trochę, bardzo...

Estera pobiegła natychmiast do domu, i zawołała wchodząc do salonu:

— Mamo, co na to powiesz? Ojczulek zabrał z sobą Oliwię do Monako.

XI.

Jakkolwiek upłynęło już dwadzieścia lat od dnia w którym Estera Stanhope zaślubiła Godfrera Seaforth, znajdujemy ją mało zmienioną; piękne dziewcze stało się piękną kobietą, tylko czas i przebyte próby nadały jej ślicznym oczom jakiś myślący i smutny wyraz.

Doświadczenie nauczyło ją że na tym świecie nie można spodziewać się szczęścia, a jednak dawna jej żywość i wesołość nie znikła zupełnie, gdyż pomimo wszelkich trosk zachowała jeszcze wiele swobody umysłu.

Jeźli złudzenia jej młodości pierzchnęły bardzo prędko, to utrata ich i rozliczne troski zbliżyły ją do Boga i nauczyły w Nim jedynie pokładać ufność.

Zwróćmy się na chwilę w przeszłość i zobaczmy jak jej przez cały ten czas upływało życie.

Radość jaką przejmowała ją pewność że już raz na zawsze została uwolnioną od dręczących ją nalegań, wdzięczność i przywiązanie do człowieka który bez wahania poświęcił się dla jej szczęścia, dopomagały jej z początku do zniesienia wielu przykrości; zresztą pierwsze chwile jej pożycia z Godfredem były szczęśliwe.

Mąż przedstawiał jej że od dzieciństwa był nielubionym i poniewieranym przez ojca i brata, (choć nie mógł nigdy domyśléć się dla czego); że oni tylko byli winni, że finansowe jego kłopoty pochodziły jedynie ze zbyt szczupłego dochodu, jaki mu wyznaczyli. Ma się rozumieć że nie wspomniał jej wcale ile wynosiły te dochody, które bezwątpienia wydałyby jej się więcej niż dostatecznemi, sama zaś była jeszcze zbyt niedoświadczoną aby mogła domyśléć się w jaki sposób Godfred trwonił pieniądze; z tego powodu ubolewała często nad tem że nietylko nie wniosła mu żadnego posagu, ale jeszcze powiększała jego wydatki. Wprawdzie ile razy nadmieniła o tem, odpowiadał jej niezmiennie że jej wydatki były niczem w porównaniu z tem co on wydawał, i kończył zapewnieniem że jej obecność przy nim osładzała mu wszelkie kłopoty. Godfred mówił prawdę, był dumnym ze swej żony i pysznym z odniesionego nad bratem zwycięztwa.

Harold pomimo swej niezaprzeczonej wyższości został odrzuconym, i ta śliczna Estera posiadająca tak wzniosły umysł, tak szlachetny charakter, dała pierwszeństwo jemu, marnotrawnemu synowi, nad tym Haroldem uważanym za jakąś doskonałość. Trudno zaprzeczyć że mógł słusznie być dumnym z odniesionego tryumfu. Kochał żonę o ile tylko był zdolnym kochać kogoś, pochlebiało mu to że zachwycała wszystkich, i pociągała ku sobie wszystkie serca, że pokładała w nim nieograniczoną ufność i że nakoniec miała o nim jak najlepsze wyobrażenie, w którem też starał się ją utrzymać. Miał nadzieję że potrafi tak postępować aby nie żałowała nigdy że się z nim połączyła na zawsze, i aby Harold widząc ją nieszczęśliwą, nie mógł się cieszyć że został pomszczonym. Godfred chciał uchodzić zawsze w oczach Estery za takiego jakim wyobrażała go sobie; ukrywał przed nią starannie wszystko co było nagannem w jego postępowaniu, i czynił to tak zręcznie że długo nie domyślała się nawet jakiego zaślubiła człowieka.

Przyszła jednak chwila w której prawda wyszła na wierzch, nie od razu wprawdzie, ale tak jawnie że Estera nie mogła już powątpiewać o smutnej rzeczywistości. Jednocześnie przymioty Estery zdawały się rozwijać jeszcze, a Godfred pomimo swego zepsucia był zmuszony kochać ją i podziwiać codzień więcej. Tylko, na nieszczęście, w miarę jak ona zdobywała sobie co raz głębszy jego szacunek, on w jej oczach upadał co raz niżej.

Zdumiewał się widząc że ciężkie prośby na które tak często była wystawiona podwajały jeszcze jej energię: podziwiał odwagę i przytomność umysłu jakiej dała dowody gdy byli zmuszeni uciekać wśród nocy, jak złoczyńcy, jak niemniej że z takim spokojem przyjęła warunki lorda Seaforth skazujące ich na wygnanie.

Pojechali wtenczas do Włoch, a następnie lato przebyli w Homburgu.

Upłynęło ośmnaście miesięcy od ich ślubu, i Estera domyślała się wielu rzeczy; znała już po części postępowanie męża, a jakkolwiek nie przypuszczała jeszcze aby Godfred był do tego stopnia zepsutym jak był w istocie, nie mogła pokładać już w nim takiego jak dawniej zaufania. Wiedziała że mąż nie mówił jej prawdy, że nie mogła już spuścić się na jego słowo; co więcej, czuła że gotówby wymagać od niej rzeczy sprzeciwiających się jej zasadom. Szczęściem że te zasady jej były silne i niewzruszone, wypływające z głębokiego przekonania; że nie stosowała się do dewizy lorda Seaforth *„Wystarczę sam sobie”* lecz pokładała głęboką ufność w mądrości i miłosierdziu Boga.

Potrzebowała niezbędnie tak silnej wiary, tak niezłomnej stałości charakteru, gdyż Godfred nadużywał często swego względem niej położenia, wymagając od niej przyrzeczeń które dotrzymywała zawsze sumiennie, gdy on nie spełniał nigdy swoich. Nie czuł się bynajmniej obowiązanym dotrzymać danego słowa, i nie uznawał nad sobą żadnych praw Bozkich i ludzkich.

Bogu tylko wiadomo jak wytrwale Estera pracowała nad tem aby zwrócić męża na dobrą drogę, za pomocą szacunku i przywiązania jakie jeszcze czuł dla niej. Napróżno, niestety! Podziwiał swą żonę ale nie umiał jej naśladować. Była to jedna z tych osobistości niepoprawnych, nie rozumiejąca nawet potrzeby powstrzymania się od złego.

Niekiedy zdawało jej się że jej słowa sprawiły na nim jakieś wrażenie, ale nazajutrz mówił znów i postępował tak jak dawniej. Zrozumiała nakoniec że napróżno starałaby się rozbudzić w nim poczucie moralności, że sumienie jego było całkiem nierozbudzone czy też zmartwiałe. Biedna kobieta dochodziła niekiedy do zupełnego zniechęcenia i z przerażeniem zadawała sobie pytanie: jak się to skończy? Potem znów odzyskiwała odwagę, i pozostawiając Bogu dzieło jego nawrócenia, prosiła Go tylko o miłosierdzie nad grzesznikiem.

Obawa aby mąż jej nie ściągnął na siebie surowej kary Bożej, była tak wielką, że pobudziła ją do głębokiej nad nim litości, i może ta litość właśnie podtrzymała jeszcze jej przywiązanie do niego.

XII.

Co zatruwało życie Estery.

Przyjście na świat synka we dwa lata po ślubie, przyniosło prawdziwą pociechę zbolałemu sercu Estery, choć jednocześnie postawiło ją w trudniejszem jeszcze położeniu, gdyż Godfred patrząc na to dziecię, zdawał się doznawać wyrzutów sumienia. On co dotąd nie myślał wcale o swej przyszłości i nie zastanawiał się nad swą przeszłością, zaczynał pojmować że zagradzając sobie wstęp do domu ojca, wyrządził synowi niepowetowaną krzywdę.

Teraz dopiero uczuł całą gorycz wygnania, a sądząc że Estera przez wzgląd na synka ubolewała nad utratą świetnego położenia, którego dla siebie nie żałowała nigdy, gniewał się o to że kochała tak bardzo swe dziecię.

Dotąd Estera zajmowała się wyłącznie mężem i Godfred nie mógł znieść tego aby ktoś inny jeszcze miał być przedmiotem jej troskliwości. Obrażało go że tak kocha swe dziecię i poświęca mu tyle czasu, wmawiał w siebie i wymawiał jej że syn wyrugował go z jej serca.

Widzimy więc że biedne dziecię już od pierwszej chwili było cierniem na drodze Godfreda, który jemu przypisywał winę jeżli w domu znalazł coś nie pomyśli, i powtarzał ciągle że był daleko szczęśliwszym przed jego urodzeniem.

Estera cierpiała nad takiem usposobieniem męża, ubolewała że nie jest zdolnym zrozumieć uczuć macierzyńskich, i jak łatwo się tego domyśléć, czuła żal do niego za jego obojętność dla własnego dziecka.

Mały Godfred posiadał słodki i powabny uśmiech matki, i rysy Seaforth'ów, ale nadewszystko był żywym obrazem stryja Harolda, dla tego też Godfred powtarzał często, że nie rozumie jak Estera może wymagać aby go kochał choć trochę. Biedna matka przedstawiała wtenczas mężowi, że ponieważ dziecko odziedziczyło rysy Seaforth ów, nic dziwnego że przypominało także stryja, ale Godfred nie chciał tego słuchać, i utrzymywał że chłopczyk miał już nawet zimne i poważne spojrzenie Harolda.

Niepodobna zaprzeczyć że mały Godfred wzrastając stawał się co raz podobniejszym do lorda Seaforth tak co do powierzchowności jak moralnie. Poważny, sumienny, szczery, mógł pod każdym względem uchodzić za jego syna.

Jakże więc Estera mogła kochać go tak bardzo? Niestety! biedna Estera! Smutne doświadczenie nauczyło ją cenić to czem kiedyś pogardziła; zrozumiała teraz ile cierpi człowiek prawy zostając

w stosunkach tak blizkich z człowiekiem nie posiadającym moralnej wartości, a brak zasad moralnych i słabość charakteru męża tyle już przyniosły jej cierpienia, że przymioty jego brata wydawały jej się jeszcze cenniejszemi; cieszyła się też szczerze iż syn i pod względem charakteru był podobnym do stryja. Musiała ukrywać swoje przywiązanie do niego, nie chcąc rozbudzać zazdrości męża i podniecać go do gniewu, gdyż w takim razie zarzucał jej porywczo iż żałuje że mu oddała rękę, i myśli tylko o tem że Godfred byłby daleko szczęśliwszym gdyby był synem i spadkobiercą Harolda. Lub tez zapewniał ją że nie zniósłby nigdy tego aby ktoś inny odebrał mu jej serce; że jedynie przywiązanie jakie okazywała mu zawsze, powstrzymywało go od różnych szaleństw, że nie ręczy jakieby to pociągnęło za sobą następstwa, gdyby się zmieniła dla niego, i że z pewnością uległby pokusom którym opierał się dotąd przez miłość dla niej. Następnie dodawał tajemniczo że byłby już mógł wzbogacić się grając w karty, gdyby go nie powstrzymywał wzgląd na zasady żony.

Przerażona temi słowami o których znaczenie nie śmiała się nawet pytać, ponowiła mu tylko zapewnienie stałego przywiązania.

Drażliwość Godfreda wzrastała z każdym rokiem; był zawsze niespokojny, niezadowolniony, pragnął gorąco wrócić do rodzinnego kraju. Rachował na to że po śmierci ojca skończy się jego wygnanie, a dochody powiększą się znacznie.

Gdy lata mijały a Harold się nie żenił, pocieszająca myśl zrodziła się w jego umyśle: kto wie czy nie zostanie kiedyś lordem Seaforth i panem całego rodzinnego majątku.

Czekając na spełnienie tych pięknych marzeń, co raz namiętniej grał w karty, chcąc się rozerwać i uspokoić swą niecierpliwość. Skoro się dowiedział że ojciec zakończył życie, a umierając nie zawezwał go do siebie aby mu udzielić przebaczenie, zaczął przewidywać coś niedobrego dla siebie; nie był jednak wcale przygotowanym do wiadomości jaką odebrał jednocześnie z zawiadomieniem o śmierci lorda Seaforth.

Być zupełnie wydziedziczonym, był to już straszny cios dla niego, ale nie przypuszczał nawet nigdy aby mógł być na zawsze pozbawionym prawa tak do majątku jak i do dóbr rodzinnych. Taki stan rzeczy doprowadził Godfreda do zupełnego upadku. Widział się skazanym na wieczne wygnanie, bez żadnej nadziei na przyszłość, bez możności powetowania sobie za przeszłość. Musiał już do końca życia pozostać biednym! Była to ciężka kara i sprowadziła za sobą opłakane skutki; od tego dnia Godfred stał się człowiekiem zgubionym moralnie. Dotąd grał jeszcze z pewnem umiarkowaniem, ale od tego czasu gra stała się głównem zadaniem jego życia, szukał w niej zapomnienia, przegrywał wszystko prawie co posiadał, tak że w domu panował zupełny niedostatek.

Najęli znacznie mniejsze pomieszkanie i oddalili prawie wszystkich służących. Godfred, pod pozorem ubóstwa, zaczął ubierać się z takiem zaniedbaniem, że to nadawało mu postać jakiegoś skończonego ladaco. Zerwał stosunki z równymi sobie i bywał tylko u szulerów. Estera cierpiała nad tem bardzo, przestała także bywać w świecie, ale pomimo skromnego ubrania znać w niej było zawsze kobietę należącą do wyższego towarzystwa.

Skoro domy gry zostały zamknięte w Niemczech, Godfred zamieszkał w okolicach Monako, gdzie za namową Estery, pragnącej ukryć przed światem swe moralne cierpienia, nabył skromny domek stojący na osamotnionem wzgórzu. Tam zamieszkali stale i Godfred oddał się całkiem swej niepohamowanej namiętności do gry przepędzając w Monte-Carlo całe prawie dnie a często i noce. Tam w przeciągu lat kilku trzy córeczki powiększyły rodzinne grono.

Najstarsza, Estera, istny obraz matki, była najwięcej kochaną przez ojca; dwie młodsze podobne do niej, miały rysy i cerę ojca. Pojawienie się tej małej trójki, rozweseliło domowe ognisko szulera. Żywe te, wesołe i figlarne istotki, od rana do wieczora zapełniały ogródek gwarem i śmiechem. Na ustach brata częściej pojawiał się uśmiech, nieco wesela rozjaśniło czoło matki, i sam nawet posępny i milczący szuler, zdawał się odzyskiwać młodość słuchając wesołego szczebiotu i patrząc na zabawy i igraszki ślicznych dziewczątek.

Młodszym nadał imiona: Oliwia i Wenecya. Estera życzyła sobie dać córkom imiona rodzinne, nie mogąc ostatecznie wyrzec się nadziei że wrócą kiedyś do domu przodków, ale Godfred sprzeciwił się temu stanowczo, nie chcąc mieć nic wspólnego z Seaforth'ami. Nigdy nie otworzą się dla jego córek drzwi domu rodzicielskiego z którego został wygnany; nie powinny nawet nic wiedzieć o swej rodzinie, która na zawsze obcą dla nich pozostanie. Nazwał jedną córkę *Oliwią*, od gaju oliwnego otaczającego ich mieszkanie, a najmłodszą *Wenecyą* na pamiątkę podróży jaką wkrótce po ślubie odbył z żoną do Włoch.

Zbawienna rozrywka jaką dla ojca stanowiły córeczki, odwróciła nieco uwagę jego od syna, co dozwoliło matce zająć się więcej ukształceniem młodzieńca, a nie zbywało jej na odpowiednich do tego zdolnościach, dzięki pobieranej dawniej wspólnie z bratem nauce.

Stosunki między Godfredem a synem stały się przykrzejsze jeszcze od chwili dowiedzenia się o przyjściu na świat małej Joanny, skutkiem czego młody Godfred stawał się spadkobiercą Seaforth'a. Ojciec znienawidził go, prześladował na każdym kroku, starając się koniecznie upatrywać w nim coś złego i w najgorszem świetle przedstawiać go matce.

Estera starała się usuwać Godfreda z przed oczu ojca, tłomacząc jak mogła położenie i stosunki, których w całkiem prawdziwem świetle przedstawić mu nie mogła. Cierpiała nad tem niewymownie że nieusprawiedliwiona niechęć zasępia życie jej syna że nie może uchronić go przed wynikami zazdrości ojca. Ale cóż mogła poradzić na to! Robiła co mogła aby osładzać mu życie, pocieszając się nadzieją że powoli osowi się ze swojem położeniem, nie starając się zbadać jego powodów.

Taki rodzaj życia spotęgował jeszcze poważne usposobienie młodego Godfreda, który podczas godzin spędzanych w górach, gdzie matka wysyłała go aby unikał obecności ojca, same tylko książki miał za towarzyszy. Zachęcała i starała się rozwijać jego upodobanie w nauce, rozumiejąc dobrze iż gruntowne ukształcenie może zawsze zapewnić niezależne życie.

Pragnęła bardzo oddać go do szkół w Niemczech lub w Anglii, aby go usunąć od ciągłych przykrości zakłócających dziecinne jego lata, ale mąż jej nigdy nie chciał zezwolić na to ani też ograniczać się w czemkolwiek dla syna.

Bywały chwile w których Estera pragnęła gorąco aby lord Seaforth adoptował jej syna i obiecywała sobie że kiedyś zdecyduje się na to, zawezwie do zamku młodego Godfreda aby mu dać jak najstaranniejszą edukacyę, dozwalającą mu odpowiedzieć godnie stanowisku jakie ma zająć w świecie. Nie śmiała tego marzenia swego wyjawić mężowi, gdyż najlżejsza o tem wzmianka wprawiała go w wściekłość i więcej jeszcze dokuczał synowi. Inaczej zupełnie obchodził się z córkami, wyraźnie dumnym był z tej rozkosznej trójki. Żartował i bawił się z niemi, brał z sobą na przechadzki, bawiło go gdy wesoło biegały i skakały koło niego. Nie starał się bynajmniej wzbudzać w nich pewien szacunek, służyły mu jedynie za zabawkę, zostawiał matce staranie i troskę o ich wychowanie. Chciał aby były z nim tak swobodne jak kiedy bawiły się z sobą; Estera nie pochwalała tego postępowania, milczała jednak z obawy aby mąż i do córek się nie zniechęcił. Temu tylko zawsze opierała się stanowczo aby córki zabierał do Monako, nie chcąc aby poznały sposób życia ojca.

Syna nie puszczała tam dla tego aby go ustrzedz od pokus i namiętności która stała się przyczyną zguby ojca. Trudniej przychodziło ustrzedz córek, które, jak powiedzieliśmy, często wychodziły z ojcem.

Jednakże dotąd Godfred szanował wolę żony i córki nie znały dotąd kłopotów i zmartwień matki. Życie dziewcząteк upływało szczęśliwie w uroczej ustroni wśród kwiatów, były też zawsze wesołe i swawolne jak małe kotki.

Estera dręczyła się nieustannie myślą o przyszłości córek; cóż się z niemi stanie, myślała z przerażeniem, jeźli Bóg powoła ją do siebie, a one zostaną jedynie pod opieką ojca, bez poparcia i obrony. Tylko gorąca wiara krzepiła ją nadzieją że Bóg nie opuści jej dzieci.

Pragnęła gorąco aby syn jej miał zapewnione niezależne stanowisko, dozwalające mu czuwać i opiekować się siostrami, to też z niewysłowioną radością odebrała list o którym marzyła od tak dawna, a którego napisanie tak wiele kosztowało lorda Seaforth. Tak więc Bóg wysłuchał jej modłów wynagrodził ufność jaką w Nim pokładała!

Wprawdzie był to list traktujący jedynie o interesie, krótki i zimny, napisany przez notaryusza w którym o synie jej wyrażano się jak o części własności, jednakże biedna matka i z takiego ucieszyła się serdecznie i szczerze wdzięczną była lordowi Seaforth.

Łatwo pojąć że zatopiona w rozmyślaniach wzbudzonych tym listem, nie zwróciła uwagi na pierwsze wołanie Estery: „Mamo, mamo! ojczulek zabrał Oliwię do Monako!"

XIII.

Co na to powie?

„Co mówisz, moje dziecię? zapytała gdy zadziwiona milczeniem Estera przystąpiła do matki, kładąc rączkę na jej ramieniu, i powtarzając raz wypowiedziane słowa.

— Oliwia w Monako! zawołała zdziwiona tak niewymownie, iż zapomniała o zwykłej w obec dzieci przezorności. I twarz jej przybrała wyraz niepokoju i znużenia, jaki wywoływała nań często obecność męża. Dotąd Godfred nigdy w tym względzie nie sprzeciwiał się jej woli, zaniepokojona pytała siebie jakie mogą być pobudki jego dzisiejszego postępowania.

— Ojczulek powiedział że może Oliwia *przyniesie mu szczęście*, i mówił jeszcze coś co miało znaczyć że będzie zamieniona w złoto. Pytałyśmy jak to można nosić szczęście, ale odpowiedział że nie może nam tego wytłomaczyć. Może mateczka nam to objaśni.

— Wytłomaczyć tego nie można, gdyż ojciec żartował tylko; szczęście Bóg tylko zesłać nam może, sami zaś znaleźć go możemy w spełnianiu na-

szych obowiązków i w spokoju sumienia. Wszak wiesz o tem, moje dziecię.

— Tak, odrzekła dziewczynka, ale nie zdaje mi się żeby ojciec chciał tym razem żartować z nas tylko; miał jakąś bardzo niezadowolnioną minę...

— Ale ty mateczko nie bardzo gniewasz się na Oliwię—nie jest to tak bardzo z jej winy.

— Nie, nie gniewam się, jeźli to nie ona prosiła aby ojciec wziął ją z sobą do Monako.

— O nie! mateczko, odpowiedziała żywo Estera; Oliwia nie prosiła, tylko gdy ojciec zapytał nas jak zwykle: Która z was chce pójść dziś ze mną do Monako? Ona odpowiedziała: „Ja!” Z początku ojciec żartował tylko jak zwykle, ale później zmienił zdanie, choć zapewniałyśmy ojca że ani ty matko ani Godfred nie zezwoli na to.

Matka westchnęła ciężko; zrozumiała teraz dla czego mąż nie uszanował jej woli i zabrał Oliwię do Monako. Wiedziała że mąż był w jak najgorszym humorze od czasu odebrania tego listu, który zbudził w nim uśpione wspomnienia przeszłości i przypomniał mu wszystkie jego zarzuty i niechęć do brata.

Chcąc pozostać samą, kazała Esterce wrócić do ogrodu, a po jej odejściu zaczęła odczytywać znowu list od lorda Seaforth, gdy wtem posłyszała głos syna, rozmawiającego z siostrami.

— Gdzie mama? zapytywał

— W salonie, odpowiedziały mu siostry. Odebrała dziś list z Anglii, i ciągle go czyta i odczytuje i tak bardzo jest nim zajęta, że jeszcze nie zawołała nas do lekcyi. Zdaje się że dziś będziem miały rekracyę.

Nie dosłyszała odpowiedzi Godfreda; przyszło jej na myśl że może domyśla się co to był za list, co ułatwiłoby jej zawiadomienie go o tej ważnej wiadomości, którą nie wiedziała jak przyjmie. Godfred unikał dotąd rozmów o przyszłości jego, pomimo że matka byłaby pragnęła oswajać go z myślą o wielkich obowiązkach, jakie wkładać na niego będzie przyszłe jego stanowisko.

Niekiedy zdawało się Esterze iż właśnie owemu spadkowi Godfred przypisywał wszystkie swoje cierpienia i niechęć okazywaną mu przez ojca—ale nie była tego pewną nie śmiejąc rozpoczynać z nim rozmowy w przedmiocie o którym nie należało wspominać, a potem i on sam stawał się coraz przezorniejszym pod tym względem. Jakże to trudnem było położenie tej biednej matki, z jakiem zaparciem siebie osłaniała postępowanie męża, aby utrzymać w sercu syna poszanowanie dla ojca. Niekiedy widząc jak bardzo cierpi biedny Godfred nad okazywaną mu przez ojca nienawiścią, zapytywała siebie czy nie lepiej byłoby powiedzieć mu prawdę, ale z obejścia syna nie mogła poznać jak sądzi postępowanie ojca.

Od czasu gdy prawie był już mężczyzną, unikał najstaranniej rozmowy o tym przedmiocie, a ilekroć natrąciła iż być może że stryj zawezwie go do Anglii, pragnąc aby objawił co o tem myśli, odpowiadał iż dość będzie czasu zastanowić się nad tem we właściwej chwili.

Posłyszawszy szelest jego kroków, starała się zapanować nad miotającem nią wzruszeniem.

— Czyż to moja wina! mógłby był zawołać z Joasią piękny młodzieniec o pięknej, poważnej i myślącej twarzy, który wszedł do salonu i zdawał się uosobieniem portretu któremu opuszczone dziecię z takiem uwielbieniem przyglądało się w Seaforth. Też same rysy, taż sama cera, takież same piękne i myślące oczy. Tylko patrzeć jak ukaże się mała dziewczynka i uklęknie przed nim, powtarzając smutnym głosikiem zwykły swój frazes: „Godfredzie, hrabio Seaforth, jakże chciałabym być na twojem miejscu!”

Zdawało się że wcale nie jest podobny do ojca ani do sióstr ani nawet do matki, dopokąd nie uśmiechnął się spotkawszy jej utkwione w siebie spojrzenie; wtedy bowiem padobieństwo do matki było tak uderzające, iż zatarło zupełnie podobieństwo do portretu w galeryi Seaforth.

— List nadszedł dziś Godfredzie, rzekła ładodnie Estera.

Śmiertelna bladość pokryła twarz jego, i pomimo iż chciał zapanować nad sobą, odpowiedział głosem zdradzającym silne wzruszenie:

— Domyślałem się tego!

Przeraziła się niewymownie zobaczywszy jak przykre wrażenie wiadomość ta wywarła na jej synu; nie miała siły przemówić i tylko utkwiła w niego błagalne spojrzenie.

— Pozwól mi, mamo, przeczytać ten list, rzekł spokojnie.

Podała mu go nic nie mówiąc; przeczytawszy dwa razy, zbliżył się do matki.

— Jakaż będzie odpowiedź na ten list? zapytał.

— Jaka odpowiedź? powtórzyła smutnie; ach! czyż nie wiesz, Godfredzie, że jedna tylko być może!

Odwrócił nagle głowę i podszedł do okna. Estera wpatrywała się w niego niespokojnie.

— Godfredzie, synu mój ukochany, zbliż się do mnie, rzekła z czułością.

Był posłusznym, ale przeraził ją szczególniejszy wyraz jego twarzy. Co tobie? zapytała niespokojna, i zatrzymując oddech oczekiwała i obawiała się zarazem jego odpowiedzi!

— Myślałem o tem jaką dałbym odpowiedź gdyby to ode mnie zależało.

— Jakąż? wyszeptała.

— Odmówiłbym bezwarunkowo! zawołał z gniewem tak gwałtownym, iż ani przypuszczała aby do niego był zdolnym. — Odrzuciłbym wszystkie te jego dumne propozycye i świetne korzyści i widoki, mówiąc mu: Wygnałeś i hańbą okryłeś mego ojca! więc syn chce podzielać z nim ten niesprawiedliwy wyrok!

Tchu mu zbrakło, zatrzymał się chwilę, poczem zawołał równie gwałtownie:

— Więc nie znajdzie się nikt, któryby miał odwagę powiedzieć słowa prawdy temu tyranowi! On, według swego widzimisię zrywa węzły rodzinne, i godziż się przystawać na wszystko co tylko zażąda? Na jego rozkaz, *ja*, syn brata, z którym obszedł się tak niegodnie, mam rozłączyć się ze wszystkiem co mam najdroższego na świecie, aby żyć obok człowieka który tak straszną krzywdę wyrządził memu ojcu! który zatruł nam życie!... Nie on że to jest przyczyną nienawiści jaką ojciec czuje dla mnie, z powodu której cierpię tak strasznie od lat dziecinnych! I cóż to ofiaruje mi w zamian za wszystko co mi wydarł?... czyż te propozycye jego są wynikiem życzliwości dla mnie lub dla ojca?... nie! on zwraca się do nas powodowany umiłowaniem swojego nazwiska i swoich posiadłości... O! czemuż nie mogę odpowiedzieć mu że nie przyjmię od niego ani jednego *penny*, że nie dbam o jego bogactwa i nie chcę nosić jego nazwiska!

Biedna Estera! ta mowa syna silniej niż kiedykolwiek przywodziła jej na pamięć wszystkie wyrzuty jakie czyniło jej często w sumienie, i z niepokojem zapytywała siebie czy dobrze postąpiła ukrywając po dziśdzień przed synem prawdziwe powody zerwania stosunków rodzinnych? Czy powinna była dozwolić synowi wzrastać w tem przekonaniu że stryj jest winien wszystkiemu?... Co teraz począć? Poczucie sprawiedliwości nakazywało jej odkryć choćby jeden róg zasłony okrywającej przeszłość; opowiedzieć mu dzieje życia obu braci; objaśnić jak wiele stryj jego przecierpiał, dać poznać wszystko, nawet bolesne upokorzenie Harolda, zmuszonego prosić Godfreda o spadkobiercę jego imienia i posiadłości, nie mogąc ich własnemu przekazać synowi. Nie miała siły przemówić; milczała łamiąc sobie głowę w jaki sposób mogłaby uniewinnić niewinnego, nie oskarżając winowajcy. Ale to było niepodobieństwem — trzeba powiedzieć całą prawdę lub nie mówić nic nie chcąc wyjawiać synowi win ojca.

Tak więc raz jeszcze poświęciła Harolda dla Godfreda—ale skoro milczała tak długo, nie czas już teraz wyznać wszystko. Kosztowało ją to tak wiele, iż siedziała nieruchoma i zimna jak posąg, z zaciśniętemi rękami, serce gwałtownie uderzało w piersi. Godfred pierwszy odzyskał zimną krew.

— Czy ojciec czytał już ten list? zapytał naturalnym już głosem.

— Tak, przeczytał go zanim wyszedł.

— I cóż mówił.

— Że nie można odrzucać tych propozycyj.

— Kiedyż zamierza odpisać?

— Już odpisał... odrzekła słabym głosem; odpowiedź jego już odeszła.

— A! zawołał, tak nagle, i nie mówiąc mi ani słowa!... Rzecz naturalna, dodał z goryczą, ojciec rad jest że mnie się pozbędzie, że usunę mu się z oczu!...

— Ah! Godfredzie, zawołała z boleścią, czy chcesz żeby mi serce pękło?

Ukląkł przed matką i zawołał całując jej ręce:

— Ah! matko moja! moje złamane jest samą już myślą że mam opuścić ciebie!

— Jednak pojedziesz, synu mój! rzekła błagalnie, wlepiwszy w niego oczy zalane łzami.

— Pojadę, skoro ty żądasz tego, matko droga! odrzekł smutnie, przyciskając ją do serca.

Zadrżeli oboje posłyszawszy odgłos dobrze znanych kroków. Estera wyrwała się z objęć syna; on odsunął się, wziął leżącą na stole gazetę i zdawał się zatopiony w jej czytaniu. Za chwilę drzwi się otworzyły ojciec wszedł do salonu.

XIV.

Przez pamięć przeszłości.

Godfred Shaforth zmarszczył brwi zobaczywszy zmienioną twarz żony.

— Estero, rzekł szorstko, chcę z tobą pomówić. Syn wstał natychmiast i wyszedł z salonu.

— Czego żądasz, Godfredzie? zapytała.

Zobaczywszy męża wracającego o niezwykłej godzinie, mniemała że może sumienie jego zbudziło się nareszcie, że chciał pomówić z nią o synu i o odebranym liście.

— Chodzi o tę głupiutką Oliwię.

— O Oliwię! zawołała zdziwiona, zdradzając tym okrzykiem doznany zawód.

— A no tak! o Oliwię; ale doprawdy zadziwiasz mnie, Estero. Byłem pewny że wyprawisz mi *straszną scenę*, a ty zachowujesz się względem mnie jakby nie zaszło nic nadzwyczajnego. Czyż Esterka i Wenecya nie powiedziały ci że zabrałem Oliwię do Monte-Carlo?

— A! prawda! doprawdy Godfredzie, nie przypuszczałam żebyś mógł uczynić coś podobnego.

(*D. c. n.*)

Tygodnik Mód. Ubiory i Roboty. Dodatek do N. 45. 1881 r.

Opis do N-ru 44.

(Dokończenie.)

N. 39—47. Przybory do ubrania myśliwskiego.

Ryc. 39 przedstawia kamizelkę z długiemi rękawami; przody opatrzone kieszeniami wyszyte są na kanwie włóczką angielską i filozelą, podług ryc. 22 w N-rze 43; rękawy gęsto przestębnowane są z piaskowego lastyngu, a na plecy użyty miękki, ciepły materyał wełniany, zwany „Lode". Na ryc. 40 widzimy mitenkę robioną na drutach, z mankietem szydełkowym, który przyszywa się oddzielnie. Kamasz z nakolannikiem robiony na drutach, ozdobiony wyszyciem z łańcuszka szydełkowego podług ryc. 42; górny szlaczek wyszyty ściegiem luźnym włóczką kolorową przedstawia ryc. 43. Szalik ryc. 44, odpowiedni nietylko dla myśliwego, robiony jest szydełkiem wzdłuż na 155 cent., z włóczki piaskowej i zielonej, w pasy z trzech odmiennych rodzajów ściegu; dwie próbki podają w naturalnej wielkości ryc. 46 i 47. Ścieg w prążki tem się różni od zwykłego ściegu tunetańskiego, iż w rzędach od prawej ręki ku lewej nabierając oczka na szydełko, przeciąga się pentelkę przez tylną nitkę oczek poprzedniego rzędu, jak to widzimy w górnym rzędzie próbki ryc. 47, robionym w dalszym ciągu przy ściegu tunetańskim pikowym. Robotę sciegu pikowego znają czytelniczki nasze od lat paru, nie powtarzamy więc opisu. Próbkę trzeciego rodzaju ściegu, daje ryc. 46; oczka w nim wydają się jak przewiązywane, gdyż przed przewleczeniem pentelki zakłada się nitkę na szydełko i przewłoczy potem podług strzałki na ryc. 46. Brzegi szalika obrobione są po skończeniu innym kolorem włóczki, dwoma rzędami roboty przedstawionemi na ryc. 45a—45b.

N. 48. Taboret z haftem szenelowym. Patrz r. 20—21 w N-rze 43.

W taborecie przedstawionym na ryc. 48 zasługuje na uwagę nietylko piękny haft sznelowy oprawny w plusz, ale podstawa rzeźbiona z dębowego drzewa i ozdoby szmuklerskie. Ryc. 20 w N. 43 przedstawia w naturalnej wielkości część haftu sznelowego; tło pod haft stanowi biała kanwa dość gruba, przykryta zielono-popielatą gazą przerabianą w złote nitki; wyszycie sznelą daje się podług ryc. 20; po skończeniu haftu gaza wycięta jest starannie i odsłania tło kanwowe wyszyte kordonkiem w sposób wskazany na r. 21 w N. 43; pod skośne ściegi kordonkowe, dane w jedną stronę na krzyżykach kanwy poddane są nitki z włóczki crevel, przeciągnięte wzdłuż i poprzecznie.

N. 49—51. Krzesło składane.

Trzcinowe krzesło składane, ma siedzenie i poręcz wybite buretem żółtawym, w deseń poszyty z wierzchu hamburgską kolorową włóczką, ściegiem luźnym, podług ryc. 51.

Opis do N-ru 45.

Ubrania dla młodych osób i dzieci.

N. 1. Suknia z vêtement, przód na ryc. 5 w N. 46. Model kroju na arkuszu z formami N. XI, fig. 33.

Ryc. 1 przedstawia młodą panienkę w sukni z vêtement przepasanem paskiem, a na ryc. 5 w N. 46 widzimy taką samą suknię bez paska, która przez dodanie pelerynki z kołnierzem szalowym i mufki z takiego samego materyału, stanowi ładne ubranie spacerowe, służące na piękne dni jesienne. Najwłaściwszym materyałem są gładkie lub drobno przerabiane sukienka znane pod nazwą lamy, twedu amerykańskiego, lady Cloth i t. p. Na strojniejsze ubrania można użyć aksamitu w połączeniu z atłasem lub repsem. Na małym modelu fig. 33, dajemy miary długości i szerokości vêtement, które robi się na gładkiej podszewce z długą baskiną, podług której krając wierzch, dodaje się potrzebną ilość materyału na fałdę w plecach i zapięcie przodów na dwa rzędy guzików.

N. 2. Suknia z bluzką przemarszczaną.

Bluzkowy przemarszczany i fałdowany stanik, robi się na gładkiej, dobrze leżącej podszewce, na której zwierzchni materyał jest suto przemarszany na ramionach sposobem na rycinie wskazanym, a w pasie w kształt szerokiego paska Medicis, zaś długą baskinę układa się w szerokie, luźno u dołu puszczone kontrafałdy. Szerokie rękawy zmarszczone przy wszyciu w pachę, u dołu są przemarszczane na szeroki mankiet, zakończony podwójną falbaneczką. Spódnica ogarnirowana trzema plisowanemi falbankami, zakończonemi w górze szerokiem przemarszczaniem. Krótka draperya tunikowa podpięta z boków kokardami.

N. 3 i ryc. 29 w N. 46. Ubranie z fałdowaną bluzką, dla chłopczyka lat 2—4. Krój N. V, fig. 15—21.

Ubranie zrobione z bukskingu, szewiotu lub aksamitu kraje się podług podanej formy, dodając do przodów i pleców potrzebną ilość materyału, na kontrafałdy 3 c. szerokie. Spódniczka w koło plisowana, ma 18 cent. długości a 260 szerokości. Ozdobę sukienki stanowi sznur gruby jedwabny, tego co sukienka koloru, 135 cent. długi złożony we dwoje, z tyłu przez dwie patki przewleczony, z boku spuszczony a z przodu luźno przełożony.



N. 1. Suknia z vêtement. Przód na ryc. 5 w N-rze 46. Krój na arkuszu N. XI, fig. 33.

N. 2. Suknia z bluzką przemarszczaną.

N. 3. Ubranie z bluzką fałdowaną, dla chłopczyka lat 2—4. Krój na arkuszu N. V, fig. 15—21. Patrz ryc. 29 w N-rze 46.

N. 4. Koronka szydełkowa robiona podłużnie.

Pierwsze obrobienie stanowi drabinka ze słupków przedzielanych ocz. pow.; przyczem co 4 słupki robi się pentelkę z 5 ocz. pow., w którą w następnem obrobieniu * 1 ocz. ścisłe, 3 ocz. pow., 1 ocz. ścisłe w środku między słupkami, 3 ocz. pow. powtarzać od gwiazdki. Obrobienie 3-cie i 4-te nie potrzebuje opisu.

N. 5. Koronka z zębami ze słupków. Robota szydełkowa z mignardisse.

Przy robocie górnych zębów zbywające pikoty mignardisse trzeba przeciągnąć jedne przez drugie. Każden ząb składa się z 12 słupków, z których po 6 oddzielnych bierze się razem w dwa pikoty. W pierwszem obrobieniu z drugiej strony, bierze się naprzemian 5 i 3 ocz., zrabiane 1 ocz. ścisłem, a przedzielane 5 ocz. pow., w takąż ilość pikotów. Rząd ostatni składa się z 3 ocz. pow. naprzemian z 3-ma ocz. ścisłemi.

N. 6. Gorset z atłasu szafirowego.

Gorset podszyty surah, stębnowany jedwabiem vieil-or, objęty wstążką takiegoż koloru, w górze obszyty czarną koronką.

N. 7—9. Kaftanik robiony na drutach. Próbki roboty ryc. 8 i 9.

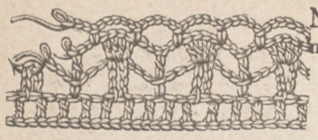
Krótki ciepły kaftaniczek zasłaniający od zimna górną część figury nie pokrytą gorsetem, robi się z niebieskiej bawełny, na drutach tam i napowrót; zaczynając od dołu szlaczkiem podanym na ryc. 8, któren następnie obrabia się ząbkami szydełkowemi. Model grubości wskazanej na próbce, zaczęty był na ocz. 272. Deseń szlaczku zaczyna się i kończy 3-ma gładkiemi rzędami, dalej idzie tło robione podług próbki ryc. 9, w którem zacząwszy od wykroju pachy, plecy i każda część przodów robi się oddzielnie, gubiąc i przybierając podług formy sposobem wskazanym na ryc. 7. Przody zaczyna się na ocz. 56, w 6 początkowych rzędach gubi się 3 ocz. na podkrój pachy, w 7 zaś obrobieniu po 22 ocz. od przedniego brzegu zaczyna się przybieranie na klinik w piersiach. Górne przybieranie przy wykroju pachy i stopniowe zakończanie przy wykroju szyi, najlepiej dopasować podług formy z papieru. Po wykończeniu każdej części zeszywa się kaftanik na ramionach, wykrój szyi, pachy i brzegi przednie obrabia się ząbkami szydełkowemi, przyczem w brzegu zwierzchnim robi się dziurki do zapinania na guziki.

N. 10—11. Napierśnik ciepły robiony szydełkiem.

Napierśnik robi się z ponsowej włóczki prosto tam i napowrót, zacząwszy na ocz. 36, ściegiem wskazanym na próbce ryc. 11, któren od zwykłych oczek ścisłych tem się różni, że nitkę przed każdem oczkiem zarzuca się na szydełko, następnie pentelkę przeciąga się pod całe oczka poprzedzającego rzędu i zrabia razem z nitką. Zrobiwszy pasek 70 cent. długi, składa go się sposobem na ryc. 10 wskazanym płasko w ten sposób, że brzegi poprzeczne do siebie się schodzą i wyłożone są na ranwersy w środku na 14 cent. długości razem spojone, w górze mają 6 c. szerokości a z brzegu 13 długości. W górze napierśnik zapina się na troczki robione gładko na drutach, dopasowane podług figury, w końcu na guzik zapięte, u dołu przyszywa się tasiemki.

N. 12—13. Turniura włosienna.

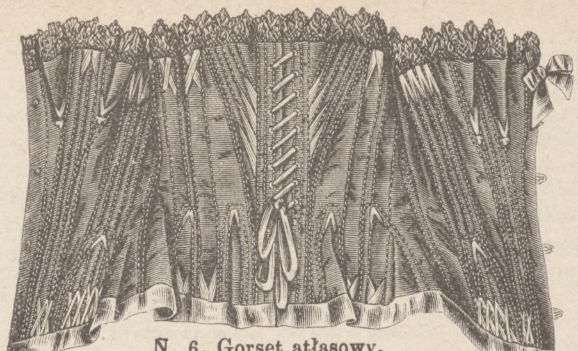
Turniury obecnie wracające do mody, zwłaszcza przy stanikach z długą baskiną, robione są z cienkiego i miękkiego włosianego materyału, łatwo i prędko powstającego po przygnieceniu. Kształt tylko mniejszemi rozmiarami różni się od poprzedzających; model miał w górze 18, u dołu 44 cent. szerokości.



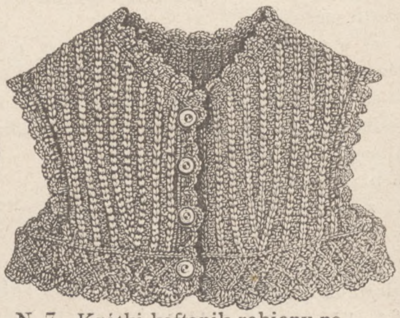
N. 4. Ząbki szydełkowe.

N 17—18. Stanik przemarszczany z baskiną. Krój N. I, fig. 1—4.

Na fig. 1—4 dajemy gładką formę stanika, na którem przemarszczane ubranie, nadające się najlepiej do miękkich wełnianych lub jedwabnych materyj, może być naszyte oddzielnie, chcąc go zrobić odrazu na staniku, trzeba dodać w krajaniu materyału, sposobem wskazanym na małym modelu fig. 1a—4a. Zgrabniej i łatwiej się układa z oddzielnych kawałków, jak to ma miejsce na ryc. 17 i 18. W górze na przodach wszywa się przemarszczanie między szew ramion, dalej układa się nieprzyszyte aż do pierwszej zaszewki, wzdłuż której jest mocno przyszyte. Karoczko podpięte kokardą ze wstążki 6 cent. szerokiej, na baskinie pleców układa się z pozostałej od przemarszczania materyi, dodanej przy krajaniu pleców, sposobem wskazanym na f. 3.



N. 6. Gorset atłasowy.



N. 7. Krótki kaftanik robiony na drutach. Patrz ryc. 8—9.



N. 12. Turniura włosienna. Patrz ryc. 13.



N. 14. Spódnica do r. 42 i do ryc. 3 w N. 46.

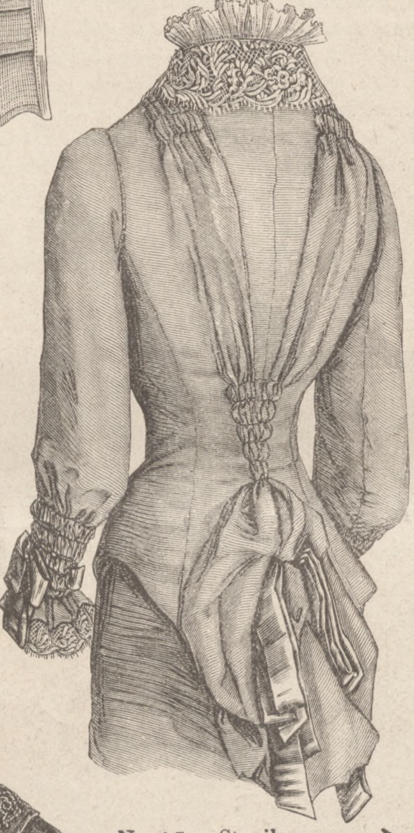
Kokardy zdobią także przemarszczane rękawy i kołnierz koronkowy.



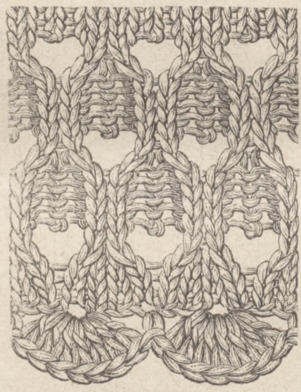
N. 16. Spódnica z przemarszczaną draperyą tunikową, do r. 32 w N. 46.

N. 19—20. Rękawy do sukien.

Ryc. 19 i 20 przedstawia dwa długie do zgięcia ręki dochodzące rękawy, do sukien jesiennych, z których pierwszy jest z boku 4 cent. otwarty, na guzik zapinany i ozdobiony 7 cent. szerokiem oszyciem z tego co i ubranie sukni, deseniowego materyału. Drugi odpowiednio do sukni ma garnirunek przemarszczany.



N. 17. Stanik przemarszczany. Patrz r. 18. Krój na arkuszu N. II, fig. 1—4a.



N. 8. Szlak do ryc. 7.



N. 18. Stanik przemarszczany. Patrz r. 17.



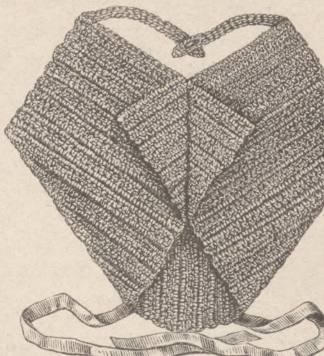
N. 19. Rękaw oszyty plisą deseniową.

N. 21. Łóżko nizkie w kształcie sofy, ozdobione baldachimem ze szlakami haftowanemi ściegiem krzyżowym na płótnie. Deseń na arkuszu z krojami N. 25.

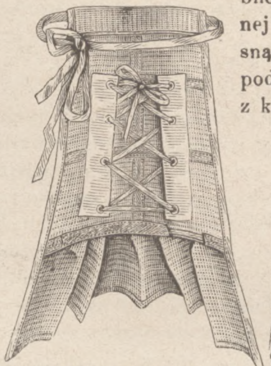
Łóżko nizkie bez poręczy, zrobione dawnym francuzkim fasonem, ozdobione jest baldachimem, przy którym szlaki zarówno jak i bielizna na łóżko ozdobione są haftem krzyżowym na płótnie. Deseń do haftu dajemy pod N. 25 na arkuszu z krojami; na węższe szlaki używa go się pojedyńczo, na szersze zestawia się podwójnie na dwie strony od środka, odrzuciwszy małe górne gałązki. Taki na dwie strony złączony szlak przy baldachimie robiony jest zwyczajnemi krzyżykami, bawełną ponsową na grubem płótnie, którego 4 nitki w kwadrat idzie na jeden krzyżyk; przy firankach gdzie lewa strona jest widoczna, trzeba robić ściegiem krzyżowym włoskim na dwie strony. Frendzla przyrabia się razem przy hafcie z dodaniem do płótna materyału frendzlowego. Na poduszkach i prześcieradłach taki sam haft krzyżykami zwyczajnemi robi się na płótnie cieńszem niezmaglowanem. Baldachim i firanki mogą być z materyi jedwabnej lub wełnianej ciemnej z jasną fularową podszewką, albo z koronki crême na podszewce z kolorowej satynki. Przy kołdrze pluszowej prześcieradło przysznurowane jest wstążką prosto przewleczoną przez pentelki do kołdry przyszyte, przeciągnięte przez dziurki obrobione w prześcieradle. Poduszka zasznurowana jest wstążką krzyżowaną, przewlekaną przez pentelki.



N. 5. Ząbki szydełkowe z mignardisse.



N. 10. Napierśnik robiony szydełkiem. Patrz ryc. 11.



N. 13. Turniura włosienna. Spód Patrz ryc. 12.



N. 15. Paletot z dolmanowemi rękawami. Patrz ryc. 45.

N. 24—27. Kredens dziecinny z całą zastawą stołową.

Kredens stanowiący śliczny i miły podarunek dla dzieci, trzeba obstalować u stolarza. Na modelu szafa miała 37 c. wysokości, 52 szerokości, a 27 głębokości, górna przystawka 39 c. wysokości, a dwie półki po 4 c. długości a $8^1/_2$ i $6^1/_2$ cent. szerokości. Zastawa stołowa z białej porcelany była pięknie malowana.



N. 20. Rękaw z przemarszczanym mankietem.

N. 28. Taca do owoców wraz z serwetkami zwanemi „Doilies". Desenie z narożnikami na arkuszu z krojami N. 3—6.

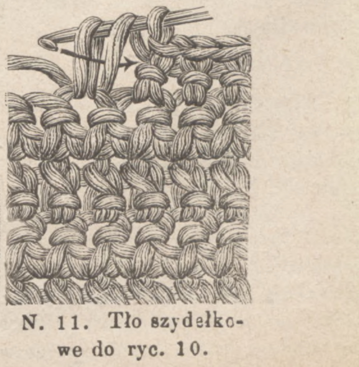
Bardzo modne do herbaty i owoców serwetki trzymające



N. 9. Tło robione na drutach i ząbki górne do ryc. 8.



N. 21. Łóżko nizkie w kształcie sofy, z baldachimem i bielizną ozdobioną wyszyciem krzyżowem.



N. 11. Tło szydełkowe do ryc. 10.



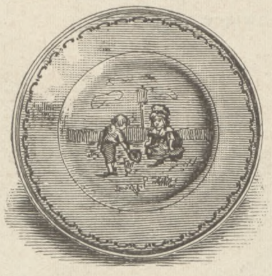
N. 22. Kapelusz pokryty fałdowanym aksamitem, podszyty marszczonym atłasem, zdobny piórami i dżetami.

18—22 cent. w kwadrat, ozdobione haftem krzyżowym, ściegiem na dwie strony, najlepiej robić na płótnie kanwowem. Frendzla siepana jest tuż przy szlaczku, któren zarazem mocuje jej brzegi. Taca przykryta takąż serwetką.

N. 30—35. Stół dziecinny wraz z taboretami, obrusem i serwetami ozdobionemi haftem krzyżowym, ściegiem perskim na grubej kanwie Aida i ściegiem płaskim na kanwie płóciennej. Probki i opis ściegu perskiego podaliśmy w N. 35 przy ryc. 24 i w N. 36 przy ryc. 37.



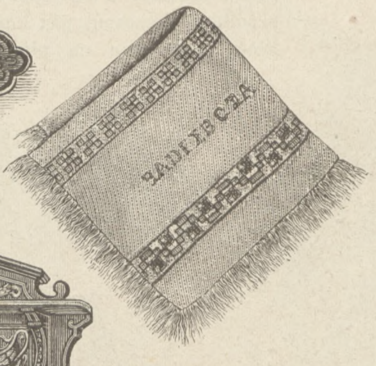
N. 24. Półmisek owalny do kredensu dla dzieci. Malowanie na porcelanie. Patrz ryc. 27.



N. 25. Talerz porcelanowy. Patrz ryc. 27.



N. 26. Półmisek podłużny. Patrz ryc. 27.



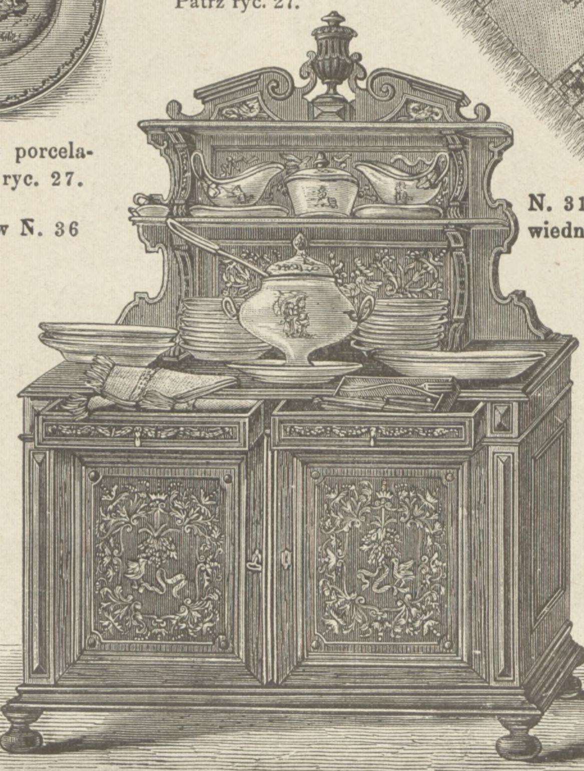
N. 31. Serwetka odpowiednia do serwety ryc. 30.



N. 23. Kapelusz z główką z pluszu bufowanego.

N. 36. Powłoczka na poduszkę, ozdobiona haftem krzyżowym. Desenie na dodatku z formami N. 17—21.

Ryc. 36 przedstawia zwierzchnią część poszewki haftowanej zwykłym ściegiem krzyżowym i ściegami pojedyńczemi, jedwabiem (do prania) purpurowym, na płótnie rzadkiem niezmaglowanem. Na N. 18 dajemy próbkę deseniu na szlak szeroki. N. 18 zarówno jak 23, 24 i 25 może być w środku zestawiony albo w połowie użyty na szlak węższy, jak to widzimy na górnej jego części. Na N. 17—21 podajemy stosowne desenie na środkową i narożne figury haftu, które urozmaicać i zmieniać można podług licznych podawanych wzorów. Brzegi obrąbić kratką ażurową i złączyć wierzch ze spodnią częścią poszewki wstawką koronkową.



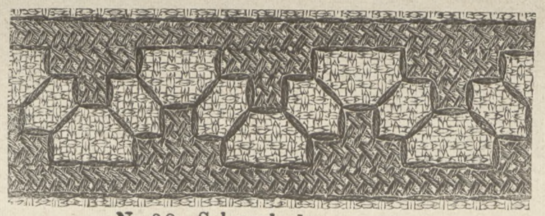
N. 27. Kredens dla dzieci. Patrz ryc. 24—26.

N. 14 i ryc. 42 oraz ryc. 3 w N. 46. Suknia z panier. Model kroju N. X, fig. 32.

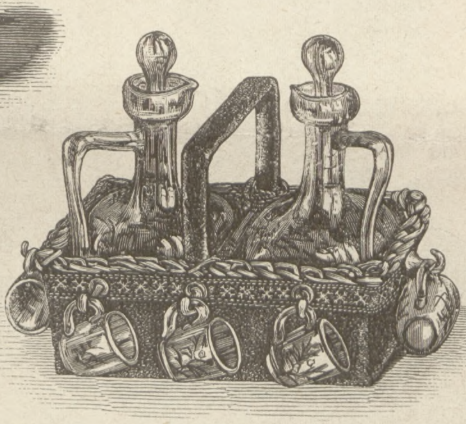
Na to ubranie użyty był kaszmir, atłas i materya w pasy repsowe i aksamitne 3 cent. szerokie. Jak widzimy na ryc. 14, dolna niezakryta draperyą część spódnicy, ogarnirowana jest u dołu plisowaniem z kaszmiru, na które zachodzi fałdowana 16 c. szeroka falbana z materyi w pasy, nad niemi przyszyty szeroki garnirunek z atłasu układanego w 6 c. szerokie kontrafałdy. Boczne części tuniki *a* wszyte między szew boczny spódnicy, w górze przyszyte 15 cent. poniżej wszycia w pasek, są gładko spuszczone ku dołowi. Tylne bryty przyszyte u dołu szwem odwracanym i w bufy podpięte; *c* przedstawia części panier, które są w górze przemarszczane i do brzegu stanika przyszyte, a z tyłu sfałdowane do 18 cent. długości podchodzą pod bufowaną baskinę pleców, której model z oznaczeniem miary i fałd przedstawia litera *d*. Do przodów stanika dodaje się potrzebną ilość materyału na garnirunek w górze plisowany a u dołu przemarszczany, któren może także być oddzielnie zrobiony i na gładkim staniku przyczepiony. Do ubrania przedstawionego na ryc. 42, dodany jest duży kołnierz z surah i koronki, zamieszczony oddzielnie na ryc. 10 w N. 46. Kokardy i szarfy z materyi w pasy.



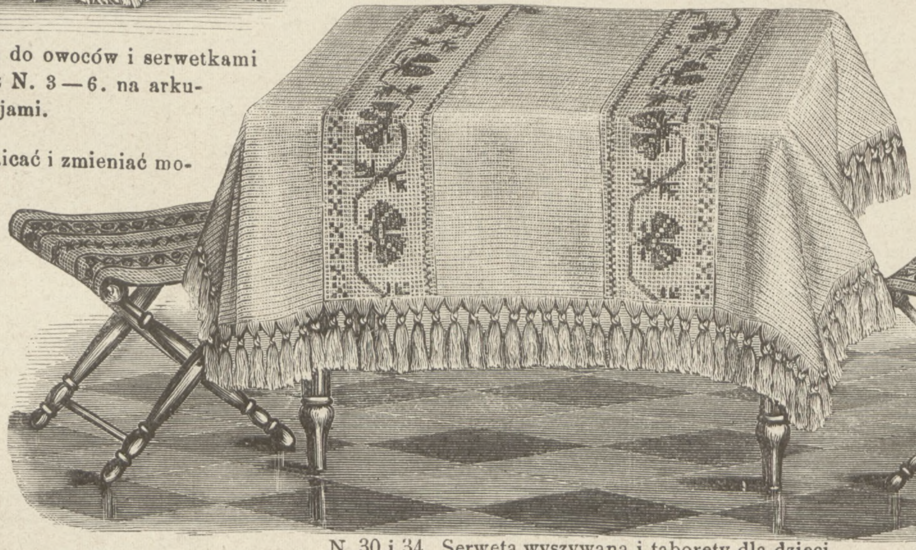
N. 28. Taca z zastawą do owoców i serwetkami Doilies. Szlaczki patrz N. 3—6. na arkuszu z krojami.



N. 32. Szlaczek do ryc. 30.



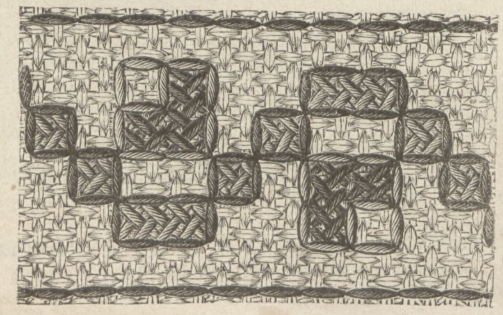
N. 29. Serwis do likierów.



N. 30 i 34. Serweta wyszywana i taborety dla dzieci.

N. 37—42. Uczesania głowy z dodaniem warkocza złożonego z trzech oddzielnych promieni.

Taki warkocz zwany en-tout-cas służy do rozmaitych sposobów czesania; na r. 37 i 42 przy włosach szeroko odebranych, podtapirowanych i odstających z przodu, a z tyłu wysoko związanych i splecionych, warkocz spleciony upina się obok własnych włosów, sposobem wskazanym na ryc. 42. Inne upięcie ze skręcanych lub w pukle układanych oddzielnych promieni, widzimy na r. 40 i 41, zaś ryc. 38 przedstawia ubranie balowe, w którym z górnej części promieni upięte są pukle a z dolnych zwinięte loki.



N. 33. Szlaczek do ryc. 30.

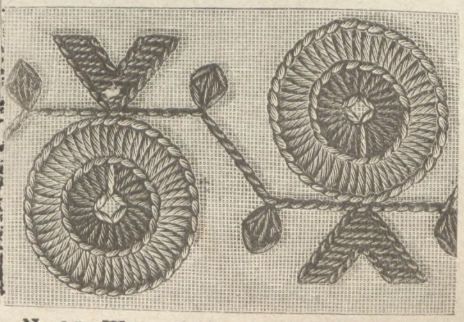


N. 36. Poszewka z wyszyciem krzyżykowem. Deseń na arkuszu N. 17—20.

N. 43—44. Ubranie z vêtement dla małych panienek. Deseń szlaku wyszytego ściegiem łańcuszkowym na fig. 42.

Do ciemnego kaszmirowego vêtement, z przodu otwartego i dopełnionego długą aksamitną kamizelką, z tyłu mającego długą fałdowaną baskinę, krajaną razem z pleckami, spódniczka może być kaszmirowa plisowana lub gładka aksamitna, jak na ryc. 44. Vêtement łatwo przykroić za pomocą dobrej formy gładkiego stanika.

N. 45 i 15. Paletocik dolmanowy. Krój N. II, fig. 5—10.



N. 35. Wyszycie do taboreta ryc. 34.

Do najmodniejszych okryć należą paletoty, z szerokiemi dolmanowemi rękawami, na które dajemy formę na f. 5-10, a na figu-



N. 37. Uczesanie z warkoczem o trzech oddzielnych promieniach. Patrz ryc. 39—41.

rze 5a—10a wskazujemy w jaki sposób zestawiają się części paletota. Przy środkowym szwie pleców materyał powinien być wzięty skośnie. Model do ryc. 45 zrobiony był z ciepłej chustki w kolorową kratę; do przybrania pleców służył gruby sznur z kwastami z włóczki w kolorach chustki. Chustki takie robione z grubej wełny, znajdują się w różnych kolorach; trzymają zwykle 175 do 185 cent. w kwadrat oprócz szerokiej frendzli, którą się odcina i używa
do oszycia paletota. Można także takie okrycia robić z kortu, aksamitu, twedu, szewiotu i t. p. materyałów.



N. 38. Uczesanie z lokami (z warkoczem en-tout-cas ryc. 39—41).

Opis do N-ru 46.

N. 1 i 28. **Sukienka** z kamizelką dla dziewczynki lat [illegible]—5. Krój na arkuszu N. VI, fig. 22—27.

Może być uszyta z gładkiego materyału w dwóch cieniach, albo też z atłasu lub materyi z aksamitem. Na fig. 22, dającej formę rozchodzących się przodów, oznaczona jest kamizelka, którą szyje się oddzielnie na podszewce. Plecy spuszczone na plisowanie 25 cent. szerokie, stanowiące spódniczkę,



N. 43—44. Ubranie z vêtement dla małych panienek. Deseń wyszycia patrz fig. 46.



N. 42. Suknia z panier. Patrz ryc. 14 i ryc. 3 w N. 46. Kołnierz podany z przodu na ryc. 10 w N. 46. Krój na arkuszu N. X, fig. 32.



N. 40. Upięcie włosów z dwóch promieni warkocza en-tout-cas ryc. 39.



N. 39. Warkocz en-tout-cas.



N. 41. Upięcie włosów z jednego promienia en-tout-cas ryc. 39.

zszyte są z sobą do 6 niżej rozchodzą się i mają brzegi objęte wypustką; w środku dane plisowanie 8 cent. szerokie. Rogi przodów i boczków podszyte materyą, są odwinięte w górę i złączone kokardą. Na ryc. 1 widzimy strojny kołnierz marynarski.

N. 2. **Suknia** zdobna naszyciem z pletni. Krój na arkuszu N. IX, fig. 30—31.

Do bronzowej kaszmirowej spódnicy draperya i stanik dodane z piaskowego beżu w kolorowe prążki; naszycie z pletni bronzowej. Najniższa przednia część draperyi, spuszczona na garnirunek spódnicy, oznaczona na fig. 30 literą *a* dana jest z kaszmiru. Część *b* oszyta pletnią dopełniona jest zaokrągloną częścią *c* podszytą sztywnym muślinem; górne zakończenie stanowi przerzucony prosty szal *d*, przyszyty 15 c. poniżej paska.

(*D. c. n.*)



N. 45. Paletot dolmanowy. Patrz ryc. 15. Krój na arkuszu N. II, fig. 5—10a.



Pl. 480.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.